



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionej agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Zabia Nr. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru. Przyczynki do historii i literatury oryginalne i tłumaczone przez Michała Gliszczyńskiego. — Urywki z podróży po Styrii przez Tadeusza Jerzego Steckiego. Korespondencja z Wiednia. — Widzenia. Fantazja Jana Turgeniewa. — Pamiętnik Wacławy przez Elizę Orzeszkową. — Mąż i Żona powieść tłum. przez Paulinę Wilkońską. Przytym dodatek z drzeworytami.

PRZYZYNYKI

DO HISTORJI I LITERATURY

ORYGINALNE I TŁUMACZONE

PRZEZ

Michała Gliszczyńskiego.

II.

Jakim sposobem Alzacja dostała się Francji.

Zródła: Coste. Réunion de Strasbourg à la France.
Haller Claparède. Réunion de l'Alsace à la France.
Strobel. Geschichte des Elsass.
Geschichte der preussischen Politik.

Alzacja nie była nigdy jak Lotaryngja udziałem księstwem, była prowincją niemieckiego rzymskiego cesarstwa na prawach lennych, a dzieliła się na górną i dolną. W górnej mieszkali wielcy właściciele ziemscy, baronowie, hrabiowie i książęta, między którymi przemożniejsi byli hrabiowie Werth i Oettingen, noszący tytuł landgrafów. W dolnej rozsadowiły się miasta cesarskie wolne, z własnym zarządem na czele których stał Strasburg.

Królowie francuzcy wytrwale szli w tę stronę ku Renowi i prędzej czy później musieli tam dojść, zagarnawszy Lotaryngję i Alzację. Z Lotaryngją trudniejsza była sprawa, bo się miało do czynienia z udziałnym władcą, dosyć potężnym i znakomitego nazwiska, z wysokimi stosunkami. To też Lotaryngja przyłączoną była do Francji w sto lat później niż Alzacja, która łatwą była zdobyczą przez samo geograficzne położenie i polityczne urządzenia. Rozdrobniona na mniejszych lennych posiadaczy i na zadrośne, kłótlive a nie bitne miasta, przy pierwszej lepszej sposobności przyłączyła się do Francji. Rozdwojenie i prześladowanie religijne, a potem wojny domowe były dla niej ową sposobnością.

Dla tego przyłączenie Alzacji do Francji odbyło się na innych warunkach, niż przyłączenie Lotaryngji. Nie było ono takie krwawe, zawzięte i niszczące jak tamto. Lotaryngja jak już opowiedziałem,

dostała się Francji przemocą, Alzacja dobrowolnem schronieniem się pod opiekę Francji, a następnie pokojowemi traktatami.

Obie te krainy chociaż przy podziale wielkiej monarchji Karola Wgo dostały się państwu niemieckiemu, lgnęły jednak więcej do Francji i dla tego tak prędko sfrancuziały i pokochały serdecznie nową swoją ojczyznę. Kwitnęły tam przemysł, handel, rolnictwo, bogactwa materialne i duchowe, słowem były szczęśliwe. Wątpię żeby były wdzięczne szalbierstwu z pod Sedanu za to, że przez niesłychane w dziejach samolubstwo, tyle nieszczęść na nie spowodowano i wydano je w ręce niemieckich braci, do których wcale nie tęskniły, jak to głoszą niemieckie dzienniki i tuzinkowi historycy jakich pełno tam teraz.

Nie wdaję się tu w drażliwą kwestję naturalnych granic, przypomnę tylko że jeszcze Cezar w swoich Pamiętnikach wyraźnie napisał, że Ren odłączał Galów od Germanów, że Belgowie byli także gallijskiego pochodzenia, a zatem Lotaryngja i Alzacja musiały być także częścią starą Gallji a nie Germanji, chociaż się z nią często stykały, a później do niej przyłączone zostały.

Kwestja granic reńskich przez całe wieki średnie nie pokazywała się ani w życiu ani w historii, bo europejskie państwa jeszcze się nie wkorzeniły ostatecznie w swoich siedzibach. Dopiero w r. 1440 kiedy cesarz Fryderyk III ¹⁾ prosił Henryka VIII króla francuzkiego o pomoc przeciw Szwajcarom, to Henryk zamiast żądanych 5,000 posłał mu 40,000 owych nieunoszonych Armaniaków (Armagnac) ²⁾ których we Francji i Niemczech lud nazywał *odrzyskórami*. Razem z temi posiłkami wyprawił do Germanji manifest w którym czytamy, że Francja pragnie odzyskać naturalną swoją granicę—Ren, której tak długo była pozbawiona.

Ale Armaniaki zamiast bić Szwajcarów zaczęli topić mieszczan i chłopów w Lotaryngji i Alzacji ztąd

¹⁾ Fryderyk III cesarz niemiecki z domu Habsburgów był przedewszystkiem niezmiernie skąpym. Synowi Maksymiljanowi nie dał żadnego wychowania, żeby oszczędzić kosztów na niepotrzebne jak mawiał rzeczy. Wymyślił on dewizę z pięciu samogłosek a, e, i, o, u, i kazał ją napisać na swym pałacu, na srebrach i pojazdach. Miała ona znaczyć po niemiecku: *Alles Erdreich ist Oesterreich unterthan*, czyli że do Austrii należy cały świat.

²⁾ Armagnac wielki dom francuzki nieprzyjazny Bourignon'om, z którym długie i krwawe staczali bójkę niszcząc kraj ogniem i mieczem. Wygaś r. 1589.

długie bójkę i rozboje, a Henryk nie dostał się do Renu.

W sto lat potem, kiedy Liga Smalkaldzka ¹⁾ została rozbita, kiedy protestanci niemieccy rozbrojeni leżeli u nóg Karola V, kiedy twarde obejście się tego monarchy z luterskimi miastami doprowadziło je do rozpacz, Henryk II król francuzki chciał skorzystać z takiego położenia rzeczy i podsunął magistratowi Strasburga projekt, żeby się oddał pod opiekę Francji, a za to Henryk przyrzekł mu pomoc w pieniądzech i ludziach. Strasburg projekt odrzucił, zarobił jednak na tem tyle, że Karol V, bojąc się ponętnych ofiar Henryka II, pofolgował dużo alzackim cesarskim miastom.

Kiedy w r. 1552 Henryk II opanował twierdzę Metz, począł ostrożnie spuszczać się z Wogezów żeby zagarnąć dolną Alzację. Największą ochotę miał na Strasburg, ale miasto domyśliło się na co się zanosz, zebrało sobie załogi z 5,000 ludzi i wzmościło swoje warownie. Widząc konetabl Montmorency że odgadnięto jego zamiary, chciał podejściem opanować Strasburg i wymyślił na to zbyt naiwny pozór. Posłał bowiem naczelnego intendenta swojej armji do Strasburga z prośbą, żeby mógł kupić tam żywności, a w dodatku żeby magistrat pozwolił królowi i znajdującemu się przy nim nuncjuszowi papieżkiemu, że znacznym orszakiem panów swobodnie przez Strasburg przejechać i obejrzeć wszystkie, co było w niem godnego widzenia. Magistrat pozwolił, mniemany nuncjusz pokazał się w licznym orszaku wyborowych wojowników, bo ich podobno aż do 400 było, przebrani byli za sługi, a do nich przyłączyło się nie mało ludzi, niby ciekawych widzów. Zaledwie jednak zbliżyli się na odległość strzału od miasta, padły na nich świszczące kulki, dwunastu padło na miejscu, reszta co tchu uciekła. Henryk II bojąc się Szwajcarów, którzy z alzackimi miastami trzymali, kazał wycofać wojska z Alzacji i znowu na długo było cicho, bo po śmierci Henryka II wybuchły długie, domowe, religijne wojny we Francji, władcy tamtejsi zapomnieli o Renie i Alzacji.

Jak na losy Lotaryngji tak i na losy Alzacji przeważnie wpłynął kardynał Richelieu, ciągle myślący o ustaleniu władzy królewskiej, o podniesieniu potęgi Francji i o poniżeniu Habsburgskiego domu. Działania ministrów-księży, w całej nowożytniej historii, prawie bez wyjątku, były tak mało ewangeliczne, że nieraz interesanci woleli mieć do czynienia

¹⁾ Tak się nazywa związek książąt protestanckich przeciw Karolowi V r. 1531.

ze świeckimi niż z duchownymi wielkorządcami. Wszyscy wiedzą dobrze, że Richelieu gniótł wszystkimi siłami Hugonotów i wielkich panów we Francji, a niemieckim protestantom dawał hojne zasiłki w pieniądzu, bo jako kardynał nie mógł im jawnie zbrojną siłą pomagać. Ta polityka jego odbiła się widocznie i bardzo korzystnie dla Alzacji.

Było to na początku trzydziestoletniej wojny, kiedy hrabia Ernest Mansfeld ze swoimi niekarnymi wojskami pokazał się nad górnym Renem, i rozniósł po Alzacji straszne zniszczenie ogniem i mieczem, nakładając przytem niesłychane kontrybucje. Wielcy posiadacze w górnej Alzacji, jeden po drugim oddawali się pod opiekę i obronę Francji, naprzód hrabia Montbeliard, potem hrabia Hanan - Lichtenberg, wreszcie hrabia Herman Adolf Salm, dziekan i administrator strasburskiego biskupstwa ze swoimi familijnymi dobrami Hochbarr. Tym sposobem dostała się Francji tymczasowo większa część Alzacji: to jest: twierdze Schlettstadt, Kolmar, Zaberni Hochbarr, miasta: Hagenau, Thann i biskupstwo strasburskie.

Mądry i przezorny Richelieu, będąc na tak dobrej drodze, nie zeszedł już z niej. Rozkazał naprzód francuzkiemu dowódcy wojsk, marszałkowi La Force, żeby wojsko w jak największej karności trzymał, żeby się w najmniejszej rzeczy nie naraziło mieszkańcom Alzacji, a to w tej myśli, żeby także miasta wielkie w dolnej Alzacji do Francji przyciągnąć. Nie było to zresztą bardzo trudne żądanie, bo cesarzey i Szwedzi poczynali sobie wszędzie jakby jakie dzikie hordy, a gdzie Francuzi stali garnizonem tam był spokój i bezpieczeństwo. Korzystał z tego zresztą Jego Ekscelencja i powtarzał ciągle katolikom, jakie by to było dla nich straszne nieszczęście, gdyby się w ręce owych kacerzy (Szwedów) dostali a protestantom przypominał, ile to już usług doświadczyli od niego ich bracia w Niemczech, Holandji i Szwajcarii. Chcąc ich jeszcze bardziej ująć, przyjmował u siebie Hugonotów, przestawał z nimi a nawet najbieglejszy jego agent Melchior de l'Isle był protestantem.

Kardynał Richelieu był w każdym względzie niepospolitym człowiekiem. Mając przed sobą tak wielki a trudny cel o jakim wyżej wspominałem, nie zaniedbał żadnego środka, któryby mu mógł pomódz do dojścia tam dokąd zmierzał. Żaden może maż stanu nie pojmował lepiej od niego wpływu, jaki piśmiennictwo a szczególnie dziennikarstwo na wyrobienie i kierunek opinii publicznej wywiera. Im ogromniejszą stawała się jego potęga, tem silniej dawała mu się uczuwać potrzeba zjednania jej dla swoich widoków i zamiarów, dla wytlomaczenia Francji że cała jego polityka zaboreza zewnątrz a srogo silna wewnątrz, jest polityką narodową, i że Francuzi niepowinni się zrażać ofiarami, których wymagano od nich w tak szlachetnych (?) i korzystnych dla Francji zamiarach. Szło mu zaś najwięcej o to, żeby literaci bronili go od zewnętrznych i wewnętrznych nieprzyjaciół, a miał ich nie mało. Z radością więc uchwycił myśl doktora Teofrasta Renaudot'a, żeby za pomocą perjodycznej stałej gazety objaśniać i kierować a raczej wyrabiać opinię powszechną. Dzień 25 Maja 1631 r. w którym pokazał się pierwszy numer *Gazette de France* był dniem urodzin francuzkiego dziennikarstwa. Wychodziła ona co tydzień na pół arkusza średniej wielkości, a sam Ludwik XIII był jej współpracownikiem i wkrótce nabrała wielkiego rozgłosu i znaczenia.

Zaraz za tą *Gazetą Francuzką* cheiwie wtedy czytana i rozbierana w Europie, zaczęły się pokazywać różne polityczne broszury, przez najzdolniejszych ludzi pisane, a zawsze w widokach i zamiarach kardynała Richelieu. Najciekawszą między niemi była broszurka, napisana przez królewskiego radcę Jakóba de Cassan pod tytułem: *La recherche des droits du Roi et de la couronne de France*—Paris 1632. Claparède w wyżej przytoczonym dziele powiada, że broszurka ta jest bardzo rzadką, bo ją Niemcy wykupowali i niszczyli. Porobił on z niej obszerne wyciągi, w których czytamy, że radca Cassan dowodzi długo i uczenie między innymi tego, że Ren jest naturalną granicą Francji, że Lotaryngja i Alzacja są galijskiego pochodzenia, że się dostały cesarstwu przez podział wielkiej monarchji Karola Wgo między jego synów, i że zniemczyły będąc pod obcem panowaniem przez sześćset lat z górą.

Wywody te historyczne ogłoszone drukiem, a przytem roztropne i przyjazne prawie obchodzenie się kardynała z mieszkańcami Alzacji, zrobiły swój sku-

tek. Górna Alzacja i większa część dolnej czuły się szczęśliwymi pod tymczasową opieką Francji. Tylko miasta wolne, szczególnie Straszburg, trzymały się zdaleka, bo się bały o swoje urzadzienia republikańskie a przywiązane były mocno do swoich podań i obyczajów.

Kardynałowi znowu bardziej przypadły do smaku ładne, ludne i bogate miasta niż panowie ziemi, bo z tych ostatnich nie wiele było dla kraju użytku a duże kłopotu. Niepracowali ani głową ani rękami a buty mieli wyżej uszów. Ukrył jednak dobrze Richelieu swoje pragnienia pod maską uprzedzającej życzliwości. i nigdy się względem owych miast najmniejszego nacisku lub gwałtu nie dopuścił, czego sobie z Lotaryngją pozwalał. Kiedy hrabia Mansfield wpadł nad Ren i groził straszliwie Strasburgowi, zaraz francuzki poseł de la Hage zawiadamia Strasburczyków, że im straszne zagraża nieszczęście od niekarnej hordy i że król francuzki gotów jest przysłać im na pomoc 15,000 piechoty i 1,500 konnicy. Magistrat bardzo grzecznie podziękował ale pomocy nie przyjął.

W pięć lat potem pisał Ludwik XIII do magistratu Strasburga, że brat jego Gaston Orleański, zmartwiony ciężko upragnionem a zawiedzionem małżeństwem potrzebuje bardzo rozrywki, dla tego ma zamiar wyjechać na jakiś czas z Francji i zamieszkać w jakim niemieckim mieście i bardzoby sobie życzył w Strasburgu. Prosił także król francuzki, żeby magistrat pozwolił bratu wziąć z sobą 400 towarzyszy szlachty i 90 ludzi przybocznej straży. Jakie ztąd dla miasta wypłyną korzyści, było bardzo widocznem: naprzód książę Gaston ma do wydania corocznie 4 miliony franków i może prędko zebrać 10,000 ludzi zbrojnych, gdyby Strasburgowi jakie niebezpieczeństwo zagrażało. Ojcowie owę miejską rzecypospolitą zważywszy, że przy tak drażliwych okolicznościach, owe 10,000 ludzi mogłoby wejść do Strasburga chociażby ich nie potrzebowano, odmówili znowu, dziękując grzecznie za zaufanie i życzliwość.

Tak stały rzeczy aż do końca wojny trzydziestoletniej, która się ukończyła w r. 1648 pokojem Westfalskim. Cesarz i wszystkie katolickie potence zupełnie z sił opadły. Protestanci i Francja dyktowała prawa. Na mocy tego pokoju cesarstwo niemieckie ustąpiło Francji na zawsze całą Alzacji ze wszystkimi prawami, jakie się dotąd cesarzom niemieckim należały. Francja ze swojej strony obowiązała się utrzymać miasto i biskupstwo Strasburg w dotychczasowym ich stanie i nie naruszać ani ich praw, ani urzędów, ani wolności, ani stosunków bezpośrednich z Niemcami.

(d. c. n.)

URYWKI Z PODRÓŻY

PO STYRJI

PRZEZ

Tadeusza Jerzego Steckiego.

w roku 1870 odbytej.

I.

Droga z Wiednia do Graz — Styria a vol d'oiscan, charakter jej okolic, gór i zamków. — Miasteczko Radkersburg z zamkiem Ober Radkersburg — parę słów o ich dziejach. — Miasteczko Murek i jego pamiątki.

Zmuszony kilka tygodni przepędzić w Styrii, w chwilach wolnych od głównego celu podróży, rzuciłem kilka pobieżnych notat o tym kraju, mało przez podróżnych zwiedzanym, bo nieco odległym od głównego centrum europejskich kolei, a jednak ciekawym pełnym pamiątek zwłaszcza archeologicznych. W nim to przechowały się dotąd liczniejsze niż gdzieindziej w Niemczech zamki, z feudalnym średnich wieków charakterem, z urządzeniem rycerskim, ze staremi z tych czasów grobami, pomnikami i kościołami. Dodaje do tego ludność przesiąkniętą mityczną legendą swą przeszłości, przesadną, pełną wiary w rzeczy nadzwyczajne, przyrodę zresztą dziką, głuche bory i skały — tu i owdzie żyznemi, dobrze uprawnemi dolinami poprzerzynane, moc strumieni, co wiosnę rozlewających się, a sami przyznacie że ta Styria, chowa w swem łonie niezmierny

materiał do poetycznej sielanki, że jest siedzibą i ogniskiem starej germańskiej idylli. Niestety przy dzisiejszych warunkach podróży, trudna to rzecz zdawać sprawozdanie z jakichkolwiek odczuć w niej wrażeń: silniejsza od nich siła pary, która nas pędzi coraz dalej i dalej. Zaledwie mamy czas spojrzeć na migocące się przed naszymi oczami zamki i góry, na wieżycie starych kościołów — i już je tracimy, już nowe przesuwają się przed nami. Najlepsze przewodniki podróży ani *Baedeker* ani *Grieben* nie tu nie pomogą, zaginęły już bezpowrotnie, zatarły charakter swój owe turystowskie wycieczki w celach naukowych podejmowane, pierwszy świst lokomotywy, pierwsze uderzenie dzwonka kolejowego były ich pogrzebową nutą. Dziś szczególnych i nie każdemu dostępnych warunków na odbywanie takich wycieczek potrzeba. Nie mamy też i my zamiaru kreślić szczegółowy opis kraju przez który przejeżdżaliśmy rzucamy tylko parę pobieżnych szkiców z pięknej *Styrii*, parę opisów zamków które nam zwiedzić udało się, przeważnie archeologicznych tylko dotyczących zabytków i pamiątek.

Kresem podróży naszej z *Wiednia* był *Gleichenberg* w *Styrii* położony, którego źródła już od lat kilkunastu znacznej w świecie lekarskim używają wziętości. Droga którąśmy przebywali południowo austriacką koleją Styrię przecinającą, prześliczna, zdaleka w te miejsca ściągającą podróżnych, ich podziwiania i zachwytu jest przedmiotem. W ogólności cała Styria to jakby przedmieście Włoch, z klimatem więcej tylko umiarkowanym, pod którym wino jednak wybornie dojrzewa, główny prawie stanowiąc przemysł mieszkańców. Łańcuch Alp z kilką majestatycznymi wyżynami jakby obwodową ścianą kraj ten okalający, we środku żyzne doliny, rzekami zroszone, w winnice przystrojone, poprzerzynane gęstymi koloniami, stare z poczerńniętymi murami warowne zamki i zameczki w miejscach najmniej dostępnych wśród lasów w bagnach rzucone, lud zresztą jakkolwiek z niemiecką mową na ustach ze szwabską akcentowaną, z typem fizjonomji niby na pozór czysto germańskim, jednak mający w sobie coś co go do południowego mieszkańca zbliża, jowialny, poufaty, niedołężny. Wszystko to nadaje Styrii fizjonomję i charakterystykę — nie niemiecką ale jakąś samodzielną, od innych krajów środkowej Europy, zwłaszcza od wszystkich prowincji wielkiego niemieckiego państwa, wyróżniającą się całkiem swoją.

Wyjechawszy z wiedeńskiego dworca południowej kolei, długo jeszcze mamy widok na wspaniałą *Habsburgów* stolicę, na płaszczyźnie rozciągającą się. Otóż i *Baden* pod Wiedniem mignął się przed nami ulubiona Wiedeńczyków letnia wycieczka, miejsce znane jeszcze za czasów Rzymian ze swych siarczanych mocnych źródeł (*Thermae Pannonicae*) do dziś dnia zwłaszcza przez pedagrystów bardzo uczęszczane, ładne dobrze zabudowane miasteczko. Parę stacji dalej przejechawszy przy *Teresienfeld*, widąc z drogi szereg ogromnych murowanych gmachów; to *Raketendörfel* fabryka owych sławnych rac kongrewskich, które jeszcze tak niedawno przed wynalezieniem silniejszych zniszczenia środków, były postrachem Europejskiej sztuki wojkowej. Dalej *Neustadt* także wiedeńskim nazwany (*Wienerisch Neustadt*). Duże pięknie zabudowane miasto, z 11-stą tysiącami mieszkańców, ze szkołą wojskową fundacji Marji-Teresy, ze starożytnym ratuszem i kościołami pełnymi pamiątek. *Neustadt* położone przy *Leycie* wspaniałym kanałem ośm mil długim, połączone jest z Wiedniem dla dowózki drzewa i węgla do stolicy. Zaraz za miastem odkrywa się majestatyczny widok na najpiękniejszy szczyt z łańcucha gór tutejszych na *Schneeberg* 6560 stóp wysoki, na lewo zaś na całe pasma gór *Leythy*. Ze *Schneebergu* mamy jedną z najpiękniejszych panoram w Europie, ztąd gołem okiem widzimy Wiedeń w całej swjej rozciągłości, jezioro *Neusiedler* i nareszcie ginący w dali łańcuch *Alpów Styryjskich*. Z szybkością błyskawicy zmieniają się tu kolejno cuda przyrody, bo oto już i stacja *Glognitz* u stóp słynnego ze swjej piękności *Semmeringu* położona. Kolej tutejsza (*Semmering-Bahn*) prowadząca przez cały łańcuch gór tego nazwiska, należy niezaprzeczenie do największych tworów XIX stulecia. Waleczono tu z przyrodą, pokonano wszystkie trudności jakie tylko przy budowie podobnej drogi przedstawiać się mogą. Cała linja rozciąga się na wysokości 2,788 stóp po nad morzem. Kolosalne wiadukty i dwanaście tuneli zmieniają się jedno za drugim, przy coraz to wzrastającej

wyżynie. Jest to niezaprzeczenie najkłębsza, najwięcej połamana ze wszystkich europejskich kolei. Otworzona dla publiczności w r. 1854, droga ta kosztowała 15 milionów guldenów. Trzy milowa w prostym kierunku przestrzeń, dla uniknięcia niewywiezionych przeszkód przyrody, wyciągnięta jest na 5 $\frac{1}{2}$ mil. Najdłuższy z tutejszych tuneli przez tak zwaną *Passhöhe* przeprowadzony ma 4600 stóp długości. Widoki ztąd zachwycające, mnóstwo też podróży zwiedza pieszo cały ten kraju kawał. Przyjechawszy tak pokreconą górami dolinę *Reichenau* (*Reichenauer Thal*) wjeżdżamy w drugą więcej otwartą *Mürzthal* nad brzegiem rzeki tego nazwiska do *Muru* wpadającej położoną. Ta, rozkosznie zasiana zwałiskami i dobrze utrzymanymi zamkami, kościołami, klasztorami, fabrykami i rękodzielniami różnego rodzaju. Takim to krajem, już potem po nad rzeką Mur dojeżdżamy do Grazu, stolicy Styrii, jednego z handlowiejszych miast niemieckich, zbyt dobrze znanego, abyśmy się zatrzymywać w nim potrzebowali. Ztąd już Mur coraz szerszym płynie korytem. Kolej i tu zamknięta w żywną dolinę, między wysokimi z obu stron skałami, lasem obrosłymi. Na nich warowne od natury, niedostępne jeżą się senjorjalne zamki niemieckich graów i baronów, jedne od drugich tak blisko, jakby sobie szemrać opowiadać chciały dawne dzieje swęj minionej potęgi. W ich wnętrzach od wieków nie nie zmieniło, jak nigdzie może uszanowano tu wszystkie pamiątki.

(d. n.)

KORRESPONDENCJA

z
WIEDNIA.

(Dokończenie.)

Jak w Wiedniu tak i w Węgrzech rozwijają się bardzo pomyślnie takie towarzystwa, a bale, koncerty i rozmaite festyny pomnażają ciągle ich fundusze. W ostatnim czasie minister wyznał zaasygnował towarzystwu peszteńskiemu tysiąc guldenów z kasy publicznej. W kraju tym tak dalece oswojono się już z myślą poruczania kobietom zajęć, które dotychczas były wyłącznie męczym udziałem, że umieszczanie ich przy urządach telegraficznych i pocztowych należy do rzeczy zwyczajnych. Urzędnikami tej kategorii jest w Węgrzech przeszło sześćdziesiąt kobiet. Niedawno kobieta, pani Illehssy starała się o posadę stenografki w izbie deputowanych. Wydział sejmowy zgodził się bez wahania, że kobiety mogą być używane do stenografowania i przyrzekł nadać kompetentce pierwsze opróżnione miejsce. Taż stenografka zamierza wydawać wspólnie z baronową Egloffstein pismo dla kobiet w języku węgierskim. W drukarni panny Antoniny Rudnyanszky w Peszcie pracują przeważnie kobiety. Właścicielka jest rzeczywistą kierowniczką zakładu, sama prowadzi książki i rachunki, a roboty wychodzące z drukarni zadawalnijają wszystkich pod każdym względem. Mąż wspomnianej wyżej stenografki pan Jerzy Illehssy, wydał temi czasy bardzo zajmującą broszurę pod tytułem: „Kobiety, ich zdolność do pracy i prawo do pracy umysłowej,” w której wypowiedział wiele głębokich i bardzo ważnych prawd. Powiada on tam między innemi: Gdyby kto chciał postawić jako tezę, że każdemu co może i chce pracować, wolno jest pracować, wyśmiałyby go cały świat, bo po cóż stawiać jako zasadę to co i tak jest już regułą? Po cóż bronić tego, czego nikt nie zaprzecza? Po co wznowiać to co nigdy przestarzeć się nie może? Tak bez wątpienia, gdyby życie zgadzało się z porządkiem rzeczy, teoria z praktyką. Gdy my mężczyźni szukamy pracy, lub się do niej przygotowujemy, nie pomaż na naszą powierzchowność, nie pytają o nasze zdolności i stosunki, pytają tylko, czy jesteśmy zdolni do pracy, lub do uczenia się, a jeżeli tak, wolno nam pracować lub usposabiać się do pracy. Nie wolno tego kobiecie. Kobieta bezskutecznie dowodzi swoich zdolności i chęci do pewnych prac, zabroniono jej iść w tym względzie za własnym popędem i zmuszono ją oddawać się tylko tak zwanym pracom kobiecym. Zakres ten wyznaczył jej mężczyzna, usuwając się od wszystkich tych robót, które uważa dla siebie jako poniżające, a które w istocie nie są

poniżającymi, lecz tylko szkodliwymi zdrowiu lub przynoszącymi zbyt mały zarobek. Mówią powszechnie, że przeznaczeniem kobiety jest, być matką, a w jakim to sposób usposabiamy ją do tego? Każemy jej żyć, haftować, w ogóle siedzieć, co wedle zdania lekarzy i własnego doświadczenia sprawia niezadowolone i zły humor, niszczy zdrowie i pociąga za sobą wczesne zwiędnięcie. — Kiedy zaś jest mowa o zatrudnieniu kobiety pracą biurową, mamy zaraz na pogotowiu, że praca taka przechodzi jej siły umysłowe. Mówią, że siły fizyczne kobiety nie podążają pracy. Prawda, niektóre roboty przechodzą jej siły, jak np. noszenie i dźwiganie wielkich ciężarów, kucie młotem i t. p. ale praca tego rodzaju jest także nieodpowiednią i dla nas, deputowanych, urzędników, autorów, profesorów, a zresztą nienależy zapominać, że i najprostsza reguła ma niezliczone wyjątki. Dziewczęta wiejskie często zajmują się pracą około roli, kobiety stanu średniego trudnią się pieczywem chleba, a kobiety uboższe prawie bez wyjątku oddają się ciężkiej pracy.

Pod względem towarzyskim zarzucają także niektórzy, pisze dalej węgierski obrońca płci niewieściej — że gdyby kobieta posiadała wolność pracowania, uczyniłoby to nam uszczerbek w przyjemnościach życia, bo społeczeństwo (nawet europejskie, nietylko azjatyckie) uważa kobietę jako środek do pozyskania tych przyjemności życia, odmawiając jej najprostszego i najnaturalniejszego ze wszystkich praw, utrzymywania się samodzielnie. Zarazem wkłada na nią mnóstwo obowiązków, a między niemi jeden bardzo, bardzo trudny, aby była zawsze wesołą i aby rozweselała drugich. Może tak być powinno, ale wszystko ma swoje granice. Skoro w rodzinie najpospolitszym powodem kwasów bywają troski o wyżywienie, czyż nie byłoby stosowniejszem następcą kobiecie sposobność, aby uczciwą pracą, odpowiednią swoim skłonnościom i zdolnościom, pomagała zaradzać złemu z naturalną wesołością, aniżeli przymuszać ją aby ukrywała gorycz pod zasłoną udanej wesołości? Dom i rodzina są bezwzględnie najważniejszym powołaniem kobiety, odciać całą płeć od ogniska domowego byłoby zaiste krokiem bardzo fatalnym, ale życzyć należy aby jej przeznaczenie połączone z przeznaczeniem mężczyzny, aby całej płci otworzono drogi do wielkiej pracy, aby ta która się nudzi, mogła znaleźć w pracy rozrywkę, a ta która tego potrzebuje, kawałek chleba. Nikt przecież nie pomyśli, że jeżeli kobiety przypuścimy do pracy wszelkiego rodzaju, to w końcu dla nas samych jej zabraknie. Natura nie każdą kobietę usposobiła do czynności publicznych, nie mamy prawa bronić pracy tym, które obok zajęcia nią, czynią co potrzeba dla domu i rodziny, a tem mniej tym, które zmuszone są utrzymywać się z pracy.

Mówiąc o nadaniu kobietom wolności pracowania, mamy zwykle na myśli kobiety zamężne i dziewczęta, a pomijamy wdowę, na którą w tej kwestji głównie należałoby zwrócić uwagę. Nieprzyjaciele emancypacji kobiet twierdzą, że byłoby to zgubnem a przynajmniej zbyt szkodliwym, aby kobieta posiadała samodzielność. A przecież prawo, natura i społeczeństwo przyznaje wdowie samodzielność i społeczeństwo nie straciłoby na tem, gdyby nieszczęśliwe te, chociaż samodzielne istoty, jeżeli zamiast majątku posiadają rozum i energję, uczciwą pracą zarabiał na siebie i dzieci swoje. Dzisiaj, gdy praca ręczna w najwyższym stopniu ograniczona i utrudniona tak mały przynosi zarobek, toczy muszą walkę śmiertelną o okruszyny spadające ze stołu bogatych krewnych, czyż to lepiej? Widzicie tysiące wdów w żałobie, z zapłakanymi oczyma, społeczeństwo nie wie co z nimi począć — zapytajcie ich a powiedzą wam, że kwestja pracy kobiet nie jest właściwie kwestją kobiet, ale kwestją nędzy i żebractwa!”

Charakterystycznym jest że w Wiedniu bardzo często giną dzieci, zwłaszcza dziewczynki w wieku od lat 8 do 12. Nieledwie co tydzień czytać można w gazetach ogłoszenia nieszczęśliwych rodziców, uzalających się że ich dziecko, posłane we dnie do sklepu, nie wróciło więcej do domu, błagających o wskazanie śladu ich zguby. Najczęściej jednak bezskuteczni są takie ogłoszenia, bo złodzieje dzieci bardzo zrecznie wykonują swoje rzemiosło. Co się dzieje z temi dziećmi, jaka ich przyszłość czeka? Nie trudno odgadnąć. Mniemam, że i w innych wielkich miastach wypadki podobne często się zdarzają, i że także mało który z nich kończy się tak

sześcieliwie jak następujący, który niedawno miał miejsce w Węgrzech.

W Csallotz nad brzegami Raaby wieśniaczka pewnej zaginęła dziewczynka. Poszła się bawić i nie wróciła więcej. Strapiona matka dzień cały, noc całą wołała, szukała... bezskutecznie. Dziecko zniknęło bez śladu. Nieszczęśliwa kobieta popadła w rozpacz. Może Raaba uniosła jej dziecko, może je cyganie ukradli. Gdzież ich pójdzie szukać prosta wieśniaczka, co nigdy nie wyrzała po za granicę wioski rodzinnej? Łzy cieką i cieką z oczu mateczynych i po niewielu dniach wyciekły wszystkie do kropli. Stracona nadzieja, nie złota co serce matki wiązała z aniołkiem, pękła jak zerwana struna. Przypadło dziecko jak kamień rzucony w wodę, przepadło bezpowrotnie.

Tymczasem dziecko ani utonęło w Raabie, ani się nie dostało w ręce cyganów, ale jak pszczoła za wonią kwiatów szła za piernikiem, za cukierkiem, który mu ukazywała zamożna ale bezdzietna żona mularza z Patahaza, wsi o mil kilka oddalanej. Gdy dziewczynka obejrzała się za siebie, i postrzegła jak bardzo oddaliła się od domu, było już za późno; nie pomogły płacze i błagania. Po części groźbą, po części pieśczętą uciszona, utulona, dostała się wkrótce do obcego domu, którego mieszkańcy przemocą narzucili jej na rodziców.

Że dziewczynka wiedła z początku ze smutku i tęsknoty, nie trudno się domyśleć. Z czasem przyzwyczaiła się, zobojętniała. Przybrani rodzice czynili co mogli aby ją rozerwać, rozweselić, przecież dla biednego dziecka nie było większej rozkoszy, jak gdy mu pozwolono bawić się nad brzegiem rzeki, bo wtedy mogła patrzeć swobodnie w tę stronę z której przyszła i płakać.

Po jakimś czasie matka jej zaczęła się wybierać na odpust do cudownego miejsca o mil kilka oddalonego. Nadszedł dzień wyjazdu, czółno stoi w pogotowiu, wsiada garstka pielgrzymów, płyną Raabą do świętego miejsca. Nad brzegami rzeki przesłiczne leżą wioski. Słonko wiosenne przygrzewa, tu siedzi rybak pochylony nad wędką, owdzie gromadka dzieci igra wesoło lub szuka muszelek. Pielgrzymi na czółnie przypatrują się z rozręznieniem, bo kogoż nie wzruszy widok niewinności dziecięcej?

Nagle krzyk rozległ się na czółnie: moje dziecko!.. moja matka! odpowiedziało echo na brzegu. Dwie pary rąk konwulsyjnie wyciągnęły się ku sobie, ale rzeka je dzieli. Kobieta z Csallotz jak szalona odpycha ludzi, chce wskoczyć w wodę, ledwie ją wstrzymali. Ale i dziecko dłużej dostać nie może na miejscu, zbiegło z brzegu i już prawie macza nogi w wodzie. Lecz czółno jest skierowane ku brzegowi, uderza o niego, rozstępują się wszyscy, matka pierwsza wyskakuje na brzeg, porywa dziecko i już je przycisiska do łona i płacze, ale z radości. Wieśniaczka uradowana, ani spytała jak się wieś nazywa, ani pomyślała o dochodzeniu kto był przyczyną jej nieszczęścia. Dość jej było na tem że odzyskała swoją zgubę. Fakt jednak stał się wkrótce głośnym i sądy miejscowe wzięły go pod rozpoznanie.

W Zagrzebiu (Agram) dnia 10 b. m. przedpołudniem na placu Iellaczica zebrała się banda cyganów obojg płci. Wszyscy trzymali w rękach świece woskowe, wieńce kwiatów i udali się w procesji do kościoła katedralnego. Na czele postępowała dziewczyna cygańska romantycznie ubrana. Cała banda okazywała jej ślepe posłuszeństwo. Gdy uklękła, wszyscy poklekali, gdy wstała, powstałi wszyscy. Zjawisko to było dla widzów niezrozumiałą zagadką, którą jednak wyjaśnił ojciec dziewczyny. Umarła ona niedawno, mówił stary cygan i ośm dni była martwą, ale gdyśmy już mieli ją pochować, zbudziła się. Będąc na tamym świecie widziała się z Matką Boską, rozmawiała z świętym Jerzym i Markiem i ci rozkazali jej wrócić na ziemię, aby nas nakłoniła do dawania ofiar na kościół. Prawdziwy to cud, opowiadał dalej skruszony cygan, ona codzień po trzy i cztery godziny rozmawia z Panem Bogiem, a po każdej takiej rozmowie, zdaje się wiedzieć wszystko, wszystko co sam Bóg wie. Wylizła potem na pół z płaczem jak kosztowne są te procesje z jej rozkazu przedsiębrane, do każdej bowiem na świece, zostawiane potem w kościele, wydają przeszło 60 guldenów. Teraźniejsza procesja była już drugą z kolei.

Kilka szczegółów o modach tutejszych nie będą zapewne obojętne szanownym naszym czytelnikom nie wiem jednak czy w tym względzie potrafiłbym sam zaspokoić ich ciekawość, wolę więc przytoczyć w przekładzie co o tem pisze jeden z tutejszych

dzienników. Z nadchodzącą wiosną mówi to pismo, panie tutejsze zaczynają znowu zajmować się więcej toaletą, dotychczas jednak nie wiele się jeszcze pod tym względem zmieniło i jak się zdaje, modele francuskie przeszłoroczne, które pomimo przesady tu i owdzie, były przecież najpiękniejszymi, utrzymują się i w tym roku. Wolanty wszelkiego rodzaju, marszczone lub fałdowane, szerokie i wąskie są powszechnie używane, podobnie kaftaniki wolne i obcisłe, najwięcej jednak małe paletociki ponieważ figurę zarówno szczupłą jak i pełniejszą lepiej się w nich wydaje. Tiuniki rozmaitym ulegają zmianom, najczęściej bywają długie, kilka razy a nie wysoko podpięte, z przodu otwarte. Tej metody trzymają się szczególnie osoby niskiego wzrostu, zapewne dla tego, że w takiej toalecie wyższymi się wydają, aniżeli w tunikach wysoko podpiętych a krótkich. Dość pospolitemi są także te które z przodu tworzą mały czworoboczny fartuszek, a z tyłu mają czworobok podłużny, w środku spięty, tak że tworzy dwa bufiaste, ostrokończaste skrzydła. Kostiumy aksamitne ubierają kilkomaplisami atlasowemi tego samego koloru jak suknia. Do długiej tuniki i paletocika dodaje się jeszcze piękna friendzla jedwabna.

Do kostiumów jedwabnych i wełnianych służy zwykle aksamit do ubrania, lżejsze letnie wyroby mają szlaki wrabiane, które w zupełności zastępują wszelkie naszytki i garnirunki. Panie tutejsze zawsze jeszcze ubierają się najwięcej w dwa kolory i tak noszą czarne spódnice jedwabne, aksamitne lub wełniane z szerokimi wolantami i kilku ruskami wystrzępionymi po obu stronach, a paletociki i tuniki jedwabne lub kaszmirowe koloru szafirowego, zielonego albo brunatnego, tiuniki z przodu zaokrąglone, po bokach i z tyłu podpięte, obszyte do koła wolantem lub friendzlą. Kapelusze, rękawiczki i parasoliki powinny być zawsze zastosowane do koloru sukni.

St. Nowiński.

WIDZENIA

FANTAZJA

JANA TURGENIEWA.

(Dalszy ciąg).

— Widma się przechadzają, rzekła Alicja. Wczoraj można było widzieć wiele — bardzo wiele rzeczy dziś same nawet widma uciekają przed wzrokiem ludzkim. Dalej! dalej!

Wzniesliśmy się wyżej, i zaczęliśmy lecieć w tak prostym kierunku, że nie czułem prawie żadnych poruszeń, i zdało mi się że wszystkie zostające pod nami przedmioty, biegną na nasze spotkanie. Posępne, strome, łasami pokryte góry, nasuwały się i uciekały przed naszym wzrokiem, i zaraz w ich miejscu wyłaniały się inne, rozkoszne, malownicze zielone, wznoszące się po nad strumieniem... I tak ciągle jedne góry zastępowały drugie — byliśmy w środku czarnego lasu.

W okółu roztaczały się wyniosłe góry i lasy, przepyszne lasy, odwieczne a zdrowe. Noc była jasna: mogłem więc rozpoznawać wszystkie drzewa, a szczególnie wysokie jodły o prostych, białych pniach. Na brzegu lasu, ukazywały się czasami całe gromady sarni; stały z dumą na swych małych nóżkach, i z wdziękiem obracały łebki jakby nasłuchując. Na wierzchołku nagiej skały, sterczą smutnie zwaliska jakiejś zamkowej wieży, strzelającej w niebo swemi powyszczerbianymi szczytami, a po nad temi staremi ruinami, błyszczą spokojnie mała gwiazdeczka. Tam, nieco dalej stoi małe czarne jezioro, a z niego dochodzi mnie jakby tajemnicza skarga, żałosne odzywanie się młodych żabek. Ale słyszę inne jeszcze głosy, odzywające się gdzieś w oddali, smutne i rzewne, jakby drgające tony eolskiej harfy.

Jesteśmy w krainie legend. I tu także wznosi się lekko po nad ziemią owa mglista para jaką już zauważyłem w Schwetzingen, najgęściejsza gromadzi się w dolinach. Na pochyłości gór, mogłem zliczyć pięć, sześć, dziesięć najwyraźniejszych jej odcieni —

cała ta rozległa i jednostajna przestrzeń, to melancholiczne królestwo księżycy. Powietrze było czyste i orzeźwiające — czułem się zarazem lekki, dziwnie spokojny i smutny.

— Alicjo! rzekłem, zapewne ukochałaś tę krainę?

— Ja! cóż znowu, ja nie nie Kocham.

— Jaktó?... nawet i mnie?

— Ach! prawda, ciebie, odrzekła niedbale.

Zdawało mi się że ramie jej mocniej mnie obejmuję i przyciska.

— Naprzód! naprzód! zawołała z rodzajem zimnego uniesienia.

XXI.

Nagle, nieco przed nami i po nad naszymi głowami, ozwał się przeciągły, jakby stopniowany krzyk.

— To ariergarda żorawi wędrujących ku północy rzekła z cicha Alicja; jeśli chcesz przyłączymy się do niej.

— Dobrze, lećmy śladem żorawi.

Trzynaście dużych wysmukłych ptaków, uszykowanych w trójkąt, szybkim posuwało się lotem, i tak gwałtownie poruszały skrzydłami, że szelest ich rozchodził się w powietrzu. Dziwny to był widok tych stworzeń szybujących tak śmiało i dzielnie, z tak niezachwianą wolą na tak wielkiej wysokości, tak daleko od wszelkich istot żyjących. Nie zatrzymując się w locie, żorawie odzywały się do siebie od czasu do czasu, a ta rozmowa pod niebiosami, te głośne ich krzyki, zdradzały ich dumę, zrozumienie ważności położenia i nieograniczoną ufność w własne siły. Pomimo przeszkód i trudów dojdziemy do celu, powtarzały zachęcając się wzajemnie. W tej chwili pomyślałem sobie, że w Rosji... tak w Rosji, mało bardzo znalazłoby się ludzi podobnych tym ptakom.

— Teraz lecimy do Rosji, rzekła mi Alicja.

Nie pierwszy to raz postrzegałem, że po większej części Alicja znała myśli moje.

— Czy chcesz zmienić kierunek drogi? zapytała.

— Zmienić?... oh! nie... wracamy z Paryża, ponieważ mnie do Petersburga.

— Teraz?

— Natychmiast; tylko osłoń mnie rękawem twej sukni, żebym nie dostał zawrotu głowy.

Wyciągnęła rękę... ale nim mgła mnie osłoniła poczułem na ustach dotknięcie owego przytępionego ostrza, które raz już dawniej mnie ukłóło.

XXII.

Słuszaj!... aj!.. aj!.. aj! Okrzyk ten przeciągły nieustannie obijał się o moje uszy. Słuszaj!.. aj!.. aj!... aj! odpowiedziano z oddali z rozpaczliwym wysiłkiem. Słuszaj!.. aj!... aj!.. krzyk ten ucieknął gdzieś na końcu świata... Ocknąłem się. Wielka złociona wieżyca ukazała się moim oczom, — poznałem fortecę Petersburga.

Błada nocy północy!... ale jestże to noc czyli raczej dzień sinawy i słaby? Nigdy nie byłem wielbicielem nocy petersburskich, tym razem ogarnęło mnie nawet silnie przerażenie. Twarz Alicji zniknęła zupełnie, rozwinęła się i rozeszła jak mgła materialna pod wpływem lipcowego słońca, jednak własne moje ciało widziałem wyraźnie, widziałem że jestem zawieszony w powietrzu po nad kolumną Aleksandra. Jestem więc w Petersburgu! tak, nie mylę się! tak, wszystko co widzę przekonywa mnie o tem; te szerokie puste, popielatego koloru ulice; te domy szarawe, szaro-żółte, szaro-lila lub nareszcie pokryte stiukiem, z zagłębionymi oknami, krzyżącymi sztyldami i żelaznymi daszkami; dalej brudne sklepy owocowe; greckie gipsowe frontony; szyldy; koryta dla koni dorożkarskich; odwach dla policji! Tam znów widzę złoconą kopnę S. Izaaka; gdzieś, nie wiedzieć do czego służącą, jej pstrokate ozdoby, granitowe mury fortecy i połamany bruk drewniany. Poznaje łodzie napełnione sianem i chrustem, znane mi odory kurzu, kapusty, kory lipowej; poznaje tych odzwiernych jakby skamieniałych w swoich futrach, tych woźniców do najęcia śpiących, pokureczonych na kozłach swoich dorożek.

O tak! to nasza Palmira. Wszystko to jest oświetlone, wszystko rysuje się z jakąś niemiłą dokładno-

ścią, i wszystko zasypia nagromadzone w pośród tej zakłóconej, a jednak przezroczystej atmosfery. Różowawa barwa wczorajszego zmroku, podobna rumieńcowi suchotnika, nie zniknęła jeszcze, i trwa tak aż do rana, na białem, bezgwiazdzistym niebie! Jęj odbłyśki padają długimi liniami na migotliwą powierzchnię Newy, szemrzają, sunie z wolna ku morzu, swe błękitne i zimne fale.

— Lećmy! wymówiła Alicja.

I nie czekając przyzwolenia przeniosła mnie na drugą stronę rzeki, bo za plac pałacowy. Pod nami słyszałem kroki i głosy. Ulicą biegła gromada młodzieży, na twarzach ich widniał wyraz znużenia, wracali z jakiejś pohulanki. Nieco dalej w otwartym oknie wielkiego domu, zoczyłem młodą osobę w jedwabnej wygniecionej sukni, gors i ręce obnażone, włosy w siatce perłowej, z cygarem w ustach. Czytała przykładowie książkę, — był to jakiś utwór nowoczesnego Juwenalisa.

— O! oddalmy się ztąd co prędzej zawołałem.

W jednej chwili znikły nam z przed oczu małe laski karłowatej sośniny i mchem zarosłe bagniska rozciągające się pod Petersburgiem, zwróciłem się wprost na południe. Niebo i ziemia wydawały się coraz posępniejsze a wkrótce i dzień chorobliwy, i noc chorobliwa, i miasto chorobliwe, pozostały daleko za nami.

XXIII.

Lecieliśmy wolniej niż przedtem, mogłem więc dobrze widzieć zmiany objawiające się stopniowo na mojej rodzinnej ziemi. Widziałem nieskończony krajobraz, lasy, zarośla, pola, wyrwy, rzeki tu i owdzie wsie i cerkwie, i znowu pola, wyrwy i rzeki. Byłem w złym usposobieniu, znudzony i zubożniały na wszystko, ale nie dla tego żem leciał po nad Rosją. O nie! ale ta ziemia, ta ogromna płaszczyna roztaczająca się pod moimi stopami, cała ta kula ziemiska ze swą efemeryczną ludnością, nędzną, dźwigającą brzemień cierpień, potrzeb, chorób, boleści, nieodłączonych od tej garści nędznego prochu... ta krucha i pomarszczona skorupa, ten porost na ziarnku piasku naszego planety, który pokryła pleśń uszlachetniona przez nas nazwą królestwa roślinnego... ci ludzie robaki, stokroć nędzniejsi od rzeczywistych robaków, ich mieszkanka z błota, marne ślady ich nędznych, jednostajnych kłótni, ich śmieszne walki przeciw temu co jest niewzruszone i nieuchronne....

Ach! jakże wszystko to wydawało mi się wstrętne i małe. Serce ścisnęło mi się coraz mocniej, nie chciałem patrzeć dłużej na tę coraz trywialniejszą karykaturę. Byłem znudzony, zmęczony; co gorzej nie ucuwałem już nawet żadnej litości dla moich współbraci; — wszystkie uczucia moje zlały się w jedno, które zaledwie ośmielałem się wyznać — w niewysłowny wstręt do wszystkich, a co gorsza, do samego siebie.

— Co czynisz! co czynisz! przestań lub nie będę w stanie cię unieść; stajesz się coraz cięższy, szepnęła Alicja.

— Do domu! zawołałem, takim tonem jak gdybym mówił do mego furmana, około czwartej z rana, wychodząc z obiadu od którego z moich przyjaciół w Moskwie, po długiej rozmowie o przyszłości Rosji i o tem co należy rozumieć przez ogólny interes.

— Do domu! powtórzyłem, zamykając oczy.

(d. c. n.)

Matki i nauczycielki wiedzą jak ważną jest rzeczą przyuczanie dziewcząt do nauki szycia i kroju, w którym to względzie szycie dla lalek jest najpraktyczniejszą szkołą. Nie obojętną więc może być dla nich wiadomość, iż nakładem wydawnictwa Froeblovskiego (A Wiślicki) wyszła obecnie: *Mała krawcowa dla lalek* podług Marji Leske. Cena książeczki z 8 tablicami krojów wynosi tylko 30 kop. Ta sama książeczka wraz z przyborem do szycia i haftu rs. 2. Nakładem tegoż samego wydawnictwa wyszło dla chłopczyków: *Stolarstwo N. 1 dla dzieci od 6 do 10 roku życia*. Cena rs. 1 kop. 20. Adresować: Do Redakcji Przeglądu Tygodniowego ulica Nowolipie N. 2414/15.

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIENI MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Gdy tak pewnego ranka siedziałam zatopiona w wewnętrznych zatargach i rozmyślaniach, do pokoju mego weszła matka. Po pierwszych zamienionych ze mną wyrazach usiadła przy mnie, wzięła mnie za rękę i długo w milczeniu patrzyła na mnie. Ja także na nią patrzyłam i spostrzegłam, że pomiędzy dwoma fałdami, które bruzdziły jej gładkie wyniosłe czoło ledwie dostrzegalną niteczką, zaczynała rysować się trzecia. W wielkich ciemnych a tak jeszcze pięknych oczach mojej matki, palił się cichy smutek, ale na twarzy jej widać było silne powzięte postanowienie i płynący z niego uroczysty niemal spokój. Byłam pewna że powie mi coś ważnego i nie omyliłam się.

— Wacławo! wymówiła biorąc rękę moją w obie swe dłonie, trzeba abyś odjechała do twego ojca.

Na te słowa żal mi zdjął wielki. Miałamże więc koniecznie opuścić moją matkę? Chciałam coś wyrzec, ale łagodnie skinęła głową na znak abym jej nie przerywała i mówiła dalej:

— Trzeba abyś odjechała do twego ojca, Wacławo, dłuższy pobyt u mnie byłby dla ciebie zgubny, a ja przedewszystkiem pragnę abyś była szczęśliwa. Marzyłam, miałam nadzieję że szczęście tu obok mnie znajdziesz, że w moim domu pod moim dachem wybierzesz sobie dożgonnego towarzysza, że cię sama do ołtarza ślubnego powiodę, a potem że blisko mnie pozostaniesz już na zawsze.

Inaczej się stało, nadzieje i marzenia moje w niewcz się obróciły.

Na ludziach którzy ci się podobali zawiodłaś się, innych odrzuciłaś sama. Nie poczytuję ci tego jednak za winę ale też widzę, że w świecie w którym żyjesz a zatem w którym i ty ze mną żyć byś musiała, zawsze zawodziłaś się tylko lub odrzucała. Zresztą, jestem matką i mam przenikliwość macierzyńskiego serca. Widzę twój smutek, twoje zniechęcenie, rozumiem zwątpienia jakich doświadczasz, spostrzegam nawet że zdrowie twoje chwiać się zaczyna. Martwi mnie to, boli i przekonywa zarazem, że tobie trzeba innego sposobu życia niż ten, który ja dla ciebie za najlepszy miałam, że potrzebujesz tego czego ci ja dać nie mogę...

Wymawiając ostatnie wyrazy opuściła głowę na piersi jak pod ciężarem smutku i wstydu zarazem. Poniosłam do ust jej rękę i milcząc ucałowałam ją gorąco. Dotknęła ustami mego czoła i mówiła dalej cichszym jak wprzód głosem:

— Każdy na świecie człowiek, moja droga, prędzej czy później ponieść musi pokuty za grzeszne marnowanie dni swoich, za niezrozumienie zadań, jakie mu życie przyniosło. Ja tę pokutę ponoszę teraz. Przez długie lata oddana byłam urokowi świata, przez nie rozminęłam się z zadaniami, jakie spełniać byłam powinna i one to doprowadziły mnie do tego,

że dziś nie mogę, nie umiem być mistrzynią i przewodniczką własnego dziecka... Ale na szczęście dziecko to ma ojca... zanego, rozumnego ojca który nauczy je tego, czego ja nie umiem, poprowadzi je na te drogi jakich ja nie znam... Jedź do ojca, Wacławo, przy nim może znajdziesz to szczęście, jakiego obok mnie nie ma dla ciebie!...

Głos jej zadrżał, oczy łzami nabiegły. Byłam tak wzruszona, że słowa przemówić nie mogłam. I cóż zresztą miałam powiedzieć? Czułam że matka moja mówiła prawdę.

Po chwili milczenia ciągnęła dalej:

— Niejedna zapewne młoda osoba zostając w twojem położeniu, czułaby się bardzo szczęśliwą i zadowoloną, bawiłaby się w najlepsze i skończyłaby na rychło a świetnym, zamożnym. Ale różne bywają na świecie usposobienia. Ty masz wyjątkową naturę. Po ojcu twym odziedziczyłaś wrodzony instynkt prawości, która pogodzić się nie może z żadnym fałszem i z żadną obłudą, których świat tak pełen. Odemnie wzięłaś wrażliwość charakteru i czułość serca tak niebezpieczną w tym świecie, bo ta tylko prowadzi do zawodów i wstrząśnień bolesnych. Gwar świata drażniłby cię wiecznie i ranił, sprawy ludzkie tak często brzydkie i brudne wtrącałyby cię wciąż w coraz głębsze rozczarowanie i niewiarę. Zabawy nie mogą ci starczyć, o wyjściu za mąż bez miłości i szczerzego oddania się wybranemu człowiekowi i pomyśleć nie możesz. Cóżby więc stało się z tobą gdybyś dłużej przy mnie została? Jedni ciebie nie zechcą, innych ty nie zechcesz. Będziesz bawiła się ze smutkiem w sercu, będziesz tęskniła za czemś co byś mogła kochać i uwielbiać, stracisz zdrowie duszy i ciała... Nie, tak być nie powinno! Jestem matką! nie chcę aby tak było, wolę nie widzieć cię, wolę abyś zdala odemnie była spokojną, zdrową a może i została szczęśliwą! Jedź do ojca, Wacławo!

Rzuciłam się jej na szyję i twarz jej gorącemi okryłam pocałunkami.

— Matko moja! zawołałam, droga, najlepsza moja matko! jakże ja cię opuszczę! jakże ja cię odjadę i zostawię samotną z mnóstwem grożących ci przykrości i niepokojów?...

Uśmiechnęła się łagodnie, uściśnęła mnie i rzekła:

— Moja droga, niepokoje które zapewne masz na myśli nie zmniejszą się w skutek twojej obecności przy mnie. Miałam często kłopoty i przykrości majątkowe to prawda, ale naprzód: przywykłam już do nich, powtóre, nie powinny one stać na zawadzie tam gdzie idzie o twoje dobro; po trzecie, od wczoraj zabyła mi nadzieja że staną mi się one teraz daleko lżejsze.....

Przy ostatnich wyrazach rozjaśniła się w istocie twarz mojej matki! Sięgnęła do kieszeni i wydobywając z niej papier w kształcie listu złożony, mówiła:

— Człowiek przez całe życie nie przestaje się uczyć; ja otrzymałam wczoraj naukę jak nigdy nie należy sądzić o ludziach z pozoru. Oto ktośby się spodziewał że pan Henryk, ten na pozór tak wielki egoista i człowiek zajęty wyłącznie zbieraniem majątku, ten człowiek który w tak oburzający prawdziwie sposób oświadczał się o twoją rękę, dziś mnie właśnie przybieży z pomocą...

— Pan Henryk mógł ci mamó przybieść z pomocą? zawołałam zdziwiona i z niedowierzaniem.

— Tak, z powagą odparła moja matka; oto jest właśnie list, który wczoraj otrzymałam od niego a w którym donosi mi, że nabył kilka summ jakie należały się odemnie ludziom nieuczciwym i niedelikatnym, którzy nietylko rujnowali mnie lichwą, ale jeszcze nie dawali mi pokoju dopominaniem się o swą należność i grozili wystawieniem majątku na publiczną sprzedaż.

Pan Henryk pisze mi, że nabył te summy jedynie w chęci zwolnienia mnie od przykrych stosunków z podobnymi lichwiarzami, a będzie kontentował się daleko mniejszemi procentami niż te, które oni wydzielali ode mnie, i że na wypłatę należności zaczeka dopóki nie urządzę się w taki sposób, abym bez ostatecznej ruiny dla siebie mogła mu się z długu uiścić. Przyznaj sama Wacławo, że postępek pana Henryka jest prawdziwie sąsiedzkim i obywatelskim.

Nie mogłam wyjść ze zdumienia. Rada byłam niezmiernie, że matka moja na czas pewien przynajmniej uniknie kłopotów i niebezpieczeństw, ale trudno mi było uwierzyć w szlachetność i bezinteresowność p. Henryka. Jakiż człowiek który oświadczał się o rękę panny dla tego, aby mu ożenienie się z nią posłużyło za środek do połączenia dwóch majątków, łąk z pszenną glebą, lasów ze spławną rzeką i t. d. człowiek który krzywdził własne siostry i odzierał je z ojcowskiego mienia, korzystając z tego, że miał za sobą literę prawa i szczególnie zbieg okoliczności, człowiek który tak prędko po otrzymanej ode mnie odmowie starał się już o Zosię dla tego, że miała znaczny posag lubo wiedział że nie może być przez nią kochanym, bo mógł to wyczytać w jej zgnękaną twarz i postawie, człowiek ten miałby przyjąć z pomocą pieniężną moją matkę, osobie nietylko obcej dla niego całkiem, ale jeszcze i takiej która mu odmówiła ręki swjej córki? Nie pojmovalam tego! A w dodatku przypominałam sobie wyraźnie postępowanie ze mną p. Henryka na weselu Zeni, na które mało zwracałam w tedy uwagi, ale które w tej chwili żywo stanęło mi w pamięci.

Postępowanie to było bardzo grzeczne, grzeczniejsze nawet niż kiedykolwiek a dziwnie jakoś płaskie, jakby tajemno-zjadliwe, tak że zamiast ślimaka pan Henryk na owę zabawie przypominał mi sobą oswojonego węży, który czołga się obok człowieka, łaszczy się i przymila ale co chwila pokazuje żądlę do ukłucia gotowe. Tańczył ze mną wiele i rozmawiał bardzo uprzejmie napozór, ale kilka razy słowa jego miały dla mnie tajemne jakieś zagadkowe a nie miłe znaczenie. Tak np. w kontredansie rzekł do mnie wcale niespodzianie: jaki piękny i cenny masz pani naszyjnik z pereł! Słowa te napozór były proste ale wymówił je takim tonem, że poczułam się przez chwilę obrażoną sama nie wiedząc dlaczego? W mazurowej znowu figurze odezwał się patrząc na mnie z nad okularów swych z dziwnym wyrazem:

— Słyszałem że matka pani urządziła sobie w W. apartament bardzo gustownie i bardzo bogato. I znowu na ostatni wyraz szczególny położył nacisk. Oprócz tego kilka razy w ciągu wieczoru spostrzegłam, że ścigał mnie oczami gdzieś się tylko obróciła, a spojrzenie jego zapalało się przytem dziwnym ogniem, na policzki występowały ceglaste plamy jak zawsze, gdy bywał czemś wzruszony. Helenka spostrzegła także ten dziwny wzrok jakim p. Henryk patrzył na mnie i szepnęła mi raz na ucho.

— Czy widzisz jak pan S. patrzy na ciebie? Ręczę że nienawidzi cię z całego serca.

— Nic mię to nie obchodzi, odpowiedziałam.

— Zapewne, odrzekła Helenka, a jednak wierzę mi, że obrażony konkurent jest bardzo niebezpiecznym zwierzęciem.

— Wszystko to przyszło mi na pamięć, po raz pierwszy dopiero wtedy, gdy matka moja opowiedziała mi o szlachetnym względem niej znalezieniu się p. Henryka.

Niepodobna mi było pogodzić tego wszystkiego. Krzywdził rodzone siostry a pomocną rękę podawał osobie obcej, nienawidził mnie, a wyświadczał ważną usługę mojej matce!

Wszakże fakt stał tam jako świadectwo tego ostatniego: p. Henryk pomimo obrazy i niechęci ku mnie uwalniał moją matkę od mnóstwa kłopotów, może stanowczo ratował ją od majątkowej ruiny, dając jej czas na urządzenie się z interesami i wyszukanie dla siebie środków znacznej wypłaty!

Po kilku jeszcze chwilach rozmowy o p. Henryku i majątkowych sprawach, matka moja powstała i całując mię w czoło z czułością rzekła:

— Tak Wacławo, jestem zupełnie zdecydowana na rozstanie się z tobą. Widzę w tem twoje dobro i zresztą czuję, że i dla ojca masz także obowiązki. Szanuj go zawsze i kochaj całym sercem — jest to człowiek...

Tu głos mojej matki zadrżał, spuściła powieki i chwilę milczała.

— Jest to człowiek, dokończyła, dla którego.. mimo wszystkiego co zaszło między nami, chowam pamięć życzliwą i prawdziwy szacunek... On nauczył cię żyć... on ci drogę do szczęścia pokaże lepiej niż bym ja to uczynić potrafiła. Co do mnie, pamiętasz może dawną naszą rozmowę o wędrowcu, który omijał światłe wzgórza i cieniste doliny, szukając sobie miejsca wyobraźnią wysnionego, aż wóz jego przeznaczeń stanął na piaszczystej wydmy gdzie skwar słońca dopiekał i wichry ostre wiały... Otóż jam do tego wędrowca podobna i wóz moich przeznaczeń na podobnej zatrzymał się wydmy... Wszakże nie uskarżam się i odważnie zniosę to co, sama zgotowałam sobie...

Wymawiając ostatnie wyrazy matka moja szybko się oddaliła nie chcąc, jak mi się zdawało, okazać wzruszenia, które coraz bardziej ją ogarniało.

Po jej odejściu wstałam wzruszona do głębi i kilka godzin przesiadywałam na jednym miejscu, z dłońmi przy czole pogrążona w myślach.

A gdy ocknęłam się z myśli tych i powstałam, światłej mi było w oczach, pogodniej w duszy. W umyśle moim zaświtała piękna uroczą nadzieja, serce uderzyło żywo na widok świętego wielkiego zadania jakie stanęło przedemną. Tak, rzekłam do siebie w duchu, dla czegoż by rodzice moi nie mieli połączyć się z sobą na nowo? Okoliczności których dotąd nie pojmuję dobrze, zbyt światowe usposobienie mojej matki, duma może obojga, która w niczem ustąpić nie chciała rozłączyły ich. Ale matka moja kochała mego ojca, kocha go dotąd jeszcze, to widoczne, z żalem spogląda za siebie i pragnęłaby wrócić na to miejsce słoneczne, które dobrowolnie opuściła kiedyś w chwili szału i uniesienia. A ojciec? i on pewno kochał moją matkę i jemu ciężcy musi samotne życie brak domowego ciepła i ogniska, dla czegożby więc wrócić do siebie nie mieli teraz, gdy wiele już lat przeszło po dawnych wzajemnych urazach, gdy oboje doszli do połowy życia i z żalem oglądają się za tem co utracili? A ja jedyne ich dziecię i tak bardzo przez obojga kochane, czy nie powinnam stanąć pośród nich jako pobudka i zachęta do pojedna-

nia? Czy nie powinnam od jednego z nich do drugiego przenieść oliwną gałązkę zgody i pokoju?

LVIII.

Wszystko przygotowane już było do dalekiej podróży jaką odbyć miałam, a Binia mająca mi towarzyszyć krzątała się jeszcze około ostatnich pakunków, gdy pewnego ranku przyniesiono mi z poczty list. Na kopercie poznałam pismo Franusia.

Otworzyłam list kuzyna. Pocziwy Franuś obszernie opisywał mi zimę jaką przepędził w Rodowie. „Szuflady pisał, ciemniejsze wydają się jeszcze niż wprzód, tentna zegarów rozlegają się wśród nich jeszcze przyjemniejszym echem, a ilość frywolików wyrobionych przez babkę Hortensję w ciągu długich zimowych wieczorów jest tak wielką, że w sporządzone z nich kołnierze i mankiety można by ustroić samą prababkę gór Ararat, gdyby ta posiadała szyję i ręce a jeszcze by się coś z nich dostało pięknej połowie potomstwa Noego. Zato kwadratów babki Ludgardy coraz mniej do koszyczka przybywa, bo coraz dłuższe przesiaduje godziny w swoim ustronnym pokoju, a nieraz przechodząc koło drzwi półotwartych, widzę jak siedzi naprzeciw okna za którym wisi białe zimowe niebo i patrzy na ptaszki smutnie drżące w klatce, a z rękami nieruchomo splecionymi na leżącej na kolanach wielkiej czarnej księdze, blademi ustami szepce niedosłyszalne wyrazy.

Dalej opisywał mi kuzyn o pewnych zmianach zaszłych w Rodowie. „Zimno, mroźno i cicho w starym wielkim domu ocienionym odwiecznymi jodłami. Gość rzadki z wyjątkiem pani Rudolfowej, która przesiaduje tu całymi tygodniami i coraz większe zdobywa łaski u babki Hortensji. Powiadają, że całe gospodarstwo domowe i starania około młodszych dzieci, zdała na najstarszą córkę a sama nieledwie już stale zamieszkała dom bogatej krewnej. Uniżoność jej, uległość i pochlebstwa względem tej ostatniej nie mają granic. Klęcząc na oba kolana trzyma przed babką Hortensją moteczki bawełny, w czasie gdy ta owija je zwolna i obojętnie; siaduje u jej nóg na stołeczku i w tej postawie czyta ulubione jej książki. Często sypia przy jej łóżku na kobiercu położonym na posadzce i dowodzi, że w ten sposób sypiając sny miewa najmiłsze. Kilka razy byłem nawet zmuszony do poczucia pewnej dla pani Rudolfowej wdzięczności, bo wyręczyła mnie w przynoszeniu kłębuszków bawełny do frywolików potrzebnej, i jeździła po nie sama do miasteczka w zamieć straszliwą i mroź trzaskającą. Pan Rudolf rzadko i na krótko tylko tu przyjeżdża, Rozalja raz tylko była w Rodowie w ciągu całej zimy, a i to cały prawie czas swoich odwiedzin spędziła w pokoju babki Ludgardy.

Mimo jednak tę obojętność ojca rodziny i najstarszej córki, zdaje się Rodów z przyległościami i kapitałami zostanie własnością familji Rudolfów, bo dziś już p. Rudolfowa coraz szersze zabiera miejsce nie tylko we względach babki Hortensji ale i w jej domu. W jesieni wzięła już do rąk swych klucz od skarbcza, gdzie jak wiadomo przechowują się wszystkie kosztowności i klejnoty rodzinne, pod pozorem uporządkowania go. Ale porządkowanie trwa długo, bo kilka miesięcy minęło już od tej pory, a wielkie zardzewiałe klucze od skarbcza dziś jeszcze spoczywają w zamkniętej starannie szufladzie jej biórka. Zresztą, babka Hortensja zaczęła od pewnego czasu coraz częściej uskarżać się na bóle głowy a wtedy gdy najwięcej ją napastują, p. Rudolfowa dysponuje śniadania i obiady, urządza herbatę, robi honory domu przy gościach i krząta się po wszystkich ką-

tach przymilając się do babki Hertensji, całując jej ręce i kolana, a wszystkich domowych strasząc swymi białymi ząbkami, które teraz co moment już pokazują się w ustawicznym uśmiechu. W obec niej i w skutek jej o to starań, powaga w domu babki Ludgardy, która lubo zawsze pozorną ale dla względów przyzwoitości ściśle dawniej okazywaną była, teraz znikła zupełnie. Biedna, łagodna siostra babki Hortensji, przesuwa się po domu więcej do cienia ludzkiego jak do człowieka podobna, a p. Rudolfowa nieraz tak na nią spogląda, jakby żałowała dla niej tej jedwabnej szeleszczącej sukni, jaką ją dla światowych pozorów okrywa jej siostra, tego koronkowego czepca osłaniającego jej popielatą głowę, tych pokarmów które drżącymi rękami do ust niesie. Żał mi wielki biednej babki Ludgardy i patrząc na nią, nieraz myślę sobie: co to znaczy, mój Boże przeżyć całe życie pod cudzym dachem! jakaż to smutna potęma starość!”

„Możesz domysleć się, kochana kuzynko, pisał dalej Franuś, że przy takim położeniu rzeczy, przy ciągłej prawie obecności pani Rudolfowej i jej wzrastającym wpływie, interesa twoje i twojej matki u babki Hortensji nie mogą się polepszać, ani też położenie moje w Rodowie łatwiejszem i przyjemniejszym się nie staje. O was nigdy nikt nie czyni w obec mnie żadnej wzmianki, ale kilka razy wchodząc do salonu spostrzegłem, że p. Rudolfowa nagle urwała rozmowę swą z babką i byłem pewny, że mówiła o twojej matce albo o tobie, a że czyniła to w niekorzystny dla was sposób poznałem ztąd, że na policzkach babki Hortensji leżały czerwone plamki, jakie ma zawsze gdy jest nieprzyjemnie wzruszoną, a zęby pani Rudolfowej błyszczały białą wśród jej śniadej twarzy w szerszym niż kiedy ukazywane uśmiechu. Niedawno także babka Ludgarda układając w koszyczek swoje włóczkowe kwadraty, wspomniała głośno że jeden z nich pomagała jej robić. Głos babki Ludgardy gdy wymawiała twe imię był cichy i smutny, i nie wiem dla czego spojrzała przytem na mnie, czując może że ja jeden z obecnych imię to wspominam zawsze z tęsknotą i przywiązaniem. Ale babka Hortensja spojrzała na siostrę jak to ona umie surowo i twardo. „Prosiłam cię Ludgardo, rzekła sucho i oziębło, abyś nigdy nie wspominała przedemną ani o Wacławie ani o jej matce. Babka Ludgarda chciała coś odpowiedzieć, ale pani Rudolfowa przerwała jej mowę. „Kochana ciociu Ludgardo, zawołała, dla czego chcesz martwić najdroższą ciotkę Hortensję wspomnianiem tych niewdzięcznych, lekkomyślnych i nierozumnych istot, które nie tylko pogardziły jej łaską i względami, ale jeszcze za tyle doświadczonych dobrodziejstw odpłacają jej najczarniejszymi obmowami, wysmiewając ją i ogadując przed światem?” Tak byłem oburzony tą potwarzą rzuconą na was i tą intrygą, którą tak widocznie p. Rudolfowa urządza na korzyść swoją, a szkodę waszą, iż zwyciężyłem obawę jaką wzbudza we mnie zawsze obecność babki Hortensji i powiedziałem, że ani ty kuzynko ani twoja matka nie obmawiacie z pewnością babki Hortensji, że jesteście zbyt uczciwi i dumni abyście to czynić mogli; że są to zapewne fałszywe i na niczem nieuzasadnione wieści, które ktoś złośliwy i niechętny o was rozpuszcza... Nie skończyłem mówić bo babka Hortensja podniosła zdziwiony wzrok, utopiła we mnie zimne przenikliwe oczy i wyciągając ku drzwiom swój długi biały palec wyrzekła sucho: proszę wyjść. Wyszedłem ale przez parę tygodni potem mimo kilkakrotnego wzywania mię do salonów, pozostałem zamknięty w mojej officynie z duszą zbuntowaną, przeciw memu nędznemu położeniu więcej niż kiedykolwiek.”

Potem opisywał mi smutny stan swego umysłu, bolesne uczucia jakich doświadcza gdy myśli o tem

że jak pasożyt żyje na świecie nic nie robiąc, zjadając kawałek codziennego chleba rzucany mu jak pokojowemu pieskowi z łaski i z pogardą niemal. „Nigdy, pisał, odkąd przestałem być dzieckiem, nie było mi dobrze w tem położeniu, nigdy nie przestałem rozumieć że jestem upokorzony, i że przyszłość leży przede mną pusta i zimna! Ale poczucie to wzmogło się o wiele od chwili, w której poznałem ciebie, droga kuzynko. Tyś we mnie wzbudziła pierwsze żywsze uczucie serca, a te wraz z niem los któremu tak nędznie uległem, przedstawił się mi w całym swym wstydzie i smutku. Jakież bowiem miałem prawo choćby jednym słowem lub spojrzeniem, objawić ci to co dla ciebie czułem gdy bym tak niedołężny, tak słaby, tak głęboko upokorzony i zawstydzony? O! co ucierpiałem tego dnia gdy pamiętasz, pierwszy raz przyjechałaś do Rodowa i zobaczyłaś mię w mojej roli pokojowego wyżła, przynoszącego paniom swym robótki i podnoszącego im kłębuszki upadłe pod kanapę! O! co ucierpiałem wtedy, widząc twoje przezroczyście i naiwne ale już takie dumne i myślące oczy, przywiązane do mnie z zadziwieniem i smutkiem! Przenikałem cię... widziałem jak nikła w tobie ta młoda życzliwość, którąś była dla mnie powzięła na chwilę, jak wzrok twój zatrzymywał się na mnie coraz zimniej, coraz krócej aż odwrócił się całkiem i spoczął na innym człowieku, tak samo jak ja niegodnym ciebie ale pozornie niezależnym, pozornie hardym, dumnym i świetnym, gdy ja musiał być pokornym, cichym, milejącym i zgębionym. Kuzynko! wtedy jam do reszty wszedł w samego siebie, do reszty zbrzydziłem sobie to próżniactwo, bezcelowe, upokarzające istnienie jakie dotąd wiedłem, i do reszty zbuntowałem się przeciw niemu. Odtąd każdy kęs chleba połknięty w Rodowie ma dla mnie gorycz piotunu, zazdrość ubogiemu i ciemnemu włóścianinowi, który w grubej odzianej siermiędze orze ziemię lub drzewo rąbie, a po ciężkiej pracy wraca pod własny dach i zasiada przed strzechą własnym zarobioną trudem. Wszystkie sny moje przynoszą mi nieustanne marzenia o niezależności, o własnej by najuboższej chacie, o własnym choćby czarnym i twardym chleba bochenku. W snach tych widuję i ciebie, kuzynko Wacławo, ale tylko jak gwiazdę niedościgłą, jak anioła zawieszonego pod obłokami i litośnem okiem spoglądającego na mnie... żebraka pasożyta! Kuzynko! nie bierz tych wyrazów moich za wyznanie miłości, bo jeśli byś je wzięła za takie, czuję doprawdy, że wydałbym się w twych oczach jeszcze większej litości godnym, jeszcze bardziej śmiesznym, niedorzecznym i niedołężnym. Wiem dobrze iż żadnej na ziemi kobiecie nie mam prawa mówić o miłości. Bo i cóż mógłbym jej z miłością mają przynieść w darze? Jakie czyny, jaką zasługę, jaką wartość moralną mógłbym połączyć, aby mi były w tem wyznaniu poparciem? Co mógłbym wraz z miłością ofiarować wybranej mojej? Serce pocziwe może, pragnące wybawienia z toni w jaką popadło, ale słabe i jak wosk miękkie bez hartu, ręce białe lecz niedołężne i rozpróżniaczone; dach cudzy i chleb jałmużny i młode lata moje w bezczynności i upokorzeniu spędzone! Nie kuzynko, mimo upokorzenia mego jestem zbyt hardy, mimo słabości zbyt uczciwy, aby ze smutnemi darami temi przyjść do ukochanej kobiety i prosić by je ode mnie przyjęła. Mam tyle rozsądku iż wiem, że szczęście nie przychodzi na zawołanie, że aby je zdobyć trzeba żyć inaczej niż ja dotąd żyłem...

„Nie bierz więc tego com ci napisał za wyznanie miłosne, błagam cię o to, bo nie chcę abyś mną do reszty wzgardziła..

„Tak, była chwila — krótka jak sen wysniony w pięknej, gwiazdzistej nocy letniej, w której zama-

rzyłem o twoich cudownych niewinnych a zarazem rozumnych oczach, o twojem sercu pełnem skarbów nietkniętych... tak.. zamarzyłem o tobie ale prędko, bardzo prędko obudziłem się ze snu gwiazdzistego, obejrzałem się wkoło siebie, spojrzałem na dach cudzy co okrywał mą głowę, na stół cudzy co mi dawał pożywienie, na ręce moje bezwładne, na kark mój zgięty w upokorzeniach, na czoło me pociemniałe od wstydu i rzekłem się mego marzenia.... na wieki! Kuzynko Wacławo, teraz proszę cię tylko o to, abyś była zawsze siostrą i przyjaciółką, a pragnę abym na twe przywiązanie braterskie które mi teraz dajesz darmo i jak jałmużnę, kiedyś uczciwie mógł zarobić i zasłużyć.

„Nie wiem jeszcze co uczynię i jak postąpię, ale wiem że nie długo już zostanę w Rodowie. Każdy dzień przebyty wiekiem mi się wydaje i wszystkiemi władzami mej istoty wyrwam się w świat szeroki, aby na nim zdobyć miejsce pod słońcem. Nie wiem w jaką obrócić się stronę i kędy skieruję moje kroki i gorące chęci odmiany sposobu życia, ale rozglądam się około i ufam, że pragnienia moje nie spełzną na niczem, że kiedyś jeszcze zostanę człowiekiem i będę godnym abyś mię nazwała bratem swym i przyjacielem.”

Przeczytawszy ten list Franusia długo siedziałam, zamyślona, potem otworzyłam szufladę biurka i dostałam z niej pugilares. Było w nim kilka asygmat przedstawiających sporą sumkę a zaoszczędzonych przezemnie z pensji miesięcznej, którą przez całą zimę otrzymywałam od matki na drobiazgi i różne zacheianki.

Położyłam przed sobą pieniądze, usiadłam przy biurku i natychmiast odpisałam Franusiowi w następny sposób:

„Kochany kuzynie, czy pamiętasz ten dzień w którym pierwszy raz po powrocie mym z pensji, przyjechałaś do nas i znalazłaś mię stojącą nieruchomie na progu, z frendzlą od sukni splątaną z firanką?

„Jestem pewna że pamiętasz ten drobny, dziecinny wypadek i to jak prosiłam cię wtedy, abyś wprzódy wybawił mię z niewoli w jaką popadłam i że uczyniłeś to bardzo chętnie. Otóż wet za wet kochany kuzynku! Uwolniłeś mię kiedyś z jedwabnych więzów, które niby symbol wszelkich innych więzów, skrepywały mię były w pierwszym zaraz dniu mego wśród świata pobytu, teraz ja przychodzę do ciebie z prośbą, abyś mi pozwolił wybawić cię z niewoli, której cały ciężar i smutek, nie od dziś już pojmuję i odczuwam.

„Jutro kochany kuzynie, wyjeżdżam do mego ojca, aby pozostać przy nim przez czas nieokreślony. Przyjeżdżaj także do K. gdzie się znajdować będę a jestem pewna, że u ojca mego znajdziesz skuteczną radę w tłych o przyszłość troskach. Podróż to daleka i wymaga pewnych kosztów, dla tego razem z tym listem posyłam ci trochę pieniędzy, które mi pozostały od zbyt kownych sprawunków zimowych, a teraz są mi już całkiem niepotrzebne. Jestem przekonana, że gdy pomyślisz o tem iż przysyła cię przywiązana twoja siostra i przyjaciółka, chętnie i bez przykrości przyjmiesz tę drobną ode mnie przysługę. Uważaj ją zresztą jako dług z którego się mi wtedy, uiszczysz gdy nauczysz się pracować i zapracujesz sobie wiele, wiele pieniędzy.

„Do prędkiego więc zobaczenia, drogi kuzynie; z niecierpliwością oczekiwam cię będę wraz z moim ojcem, któremu cię ślicznie zarekomenduję i którego poproszę aby był dobrym, bardzo dobrym doradcą i przewodnikiem dla mego kochanego braciszka.”

Zaledwie zdołałam list ten wysłać na pocztę, gdy w przyległym pokoju dał się słyszeć szelest sukien

i ożywiony gwar kilku wesoło rozmawiających głosów. Były to najbliższe mi towarzyski, które zmówiły się i przyjechały jednocześnie aby mię pożegnać. W kilka minut potem obsiadłyśmy wszystkie okrągły stół, umieszczony pośrodku mego bladego różowego pokoju.

Dwa przeciwległe zawieszane zwierciadła odbijały w sobie wieniec sześciu naszych twarzy i postaci, młodych zaprawdę, bo najstarsza z nas Helena miała 22 lata, najmłodsza Zosia 17.

Tuż nad naszymi głowami unosiły się pyzate Aniołki w szafirowych rozświetlonych szatach, zdawały się potrząsać swoim wiankiem z róż i uśmiechać się do nas filuternie. Zenia opowiadała o swych wesołych na przyszłość projektach.

— Za miesiąc, mówiła, wyjeżdżamy z Michałem za granicę.

Zatrzymamy się po drodze w Warszawie, Krakowie, Wiedniu, zwiedzimy część Niemiec i Szwajcarii, na całe kilka miesięcy pojedziemy do Paryża. W Warszawie mam parę domów znajomych, w Dreźnie mieszka moja rodzona ciotka z córkami swemi, młodem panna, w Paryżu nie zabraknie też pewnie znajomych za pośrednictwem których zabierzemy liczniejsze stosunki. Możecie więc wyobrazić sobie jak zachwycająco będę się bawiła.

— Co do mnie, ozwała się Helenka, w Maju puszczam się także w podróż z mamą i stryjeczną moją siostrą, ale w zupełnie innym celu niż Zenia. Bo gdy ona goni za zabawą, rozmaitością i wrażeniami, ja pojedę do Włoch po zdrowie. Dwa tygodnie temu kochani moi rodzice, przestraszeni moim coraz częstszym kaszlem a może i tem najbardziej, że coraz więcej blednę, chudnę a zatem i szpetnieję, zebrali walne konsylium lekarzy, którzy jednogłośnie osądzili, iż powinnam jakiś czas przemieszkać pod szafirowem niebem Italji. Ażeby zaś podróż weselszą mi uczynić, stryj mój wysłał z nami za granicę swoją najstarszą córkę, z którą się bardzo kochamy, a która także od pewnego czasu zaczęła cierpieć trochę na zdrowiu.

— Taką rzeczą, rzekła Zenia, rozjeżdżamy się wszystkie w różne strony świata. Wacławo wyjeżdża do ojca, ty Helenko do Włoch, ja do Paryża, Zosia tylko i Emilka zostaną w jednych stronach i blisko siebie.

— Tak, bardzo blisko bo o dwie mile tylko, ozwała się Emilka.

— A jeżeli ze mnie dobra wróżka, to wkrótce zbliżycie się z sobą jeszcze bardziej, odezwała się Helenka filuternie spoglądając na Zosię.

— W jakim to sposób? spytała nagle Zosia podnosząc na Helenkę swoje zamglone oczy.

Helenka pogroziła jej żartobliwie.

— No, w jaki to już sposób nastąpi to do mnie nie należy, ale gdy patrzę na ciebie Zosiu i na twego brata i jeszcze na kogoś trzeciego, to zdaje mi się że napewno zbliżysz się do Emilki jeszcze bardziej niż teraz..

— Moja Helenko... przerwała Zosia z nagłym rumieńcem na twarzy; jednocześnie martwe jej źrenice zapaliły się iskrami energii jakie pokazywały się w nich dawniej a od pewnego czasu zupełnie znikły. Moja Helenko, powtórzyła raz jeszcze i chciała znać wyrzec energiczne słowo zaprzeczenia, ale nagle pobladła znowu, wzrok jej zagaśł, usta zadrżały i nie powiedziała. Pochyliła tylko śliczną swą głowę, ręce skrzyżowała na piersi i znowu cała osoba jej zdawała się wyrażać: wszystko mi jedno! teraz, wszystko mi już jedno! Po obiedzie i kilku-godzinnej jeszcze gawędce, młode przyjaciółki moje powstały i zabierały się do odjazdu.

— Bądź zdrowa Waciu, mówiła ściskając mię Ze-

TOM DRUGI.

W trzy lata później.

I.

nia, będę pisała do ciebie z zagranicy. Opiszę ci szczegółowo jak będę bawiła w Dreźnie i w Paryżu...

— Smutno, bardzo smutno będzie mi na wsi bez ciebie, szeptała do mego ucha Emilka: może mi dasz jakie polecenie do swego kuzyna, pana Franciszka? spytała nagle przyczem zapłoniła się.

— Wacławo, rzekła Helena trzymając moją rękę i ze smutkiem patrząc na mnie, może już nigdy nie zobaczymy się z sobą... może zostanę na zawsze we Włoszech zasypiana w ziemię pod cieniem jakiego mirtowego gaju...

— Przebac mi Waciu że od pewnego czasu byłam obojętną dla ciebie, zeicha mówiła Zosia obejmując mnie ramieniem, teraz gdy się z tobą rozstaję czuję iż to źle było z méj strony i że cię zawsze kocham. Ale widzisz od tego czasu co wiesz... tak mi źle, pusto i chłodno na świecie i tak mi już wszystko jedno... i tak mi nic nie obchodzi... jeden tylko Lubomir i ty moja droga... ale i ty odjeżdżasz...

Ścisnęłam je wszystkie z kolei i obejmowałam wzrokiem pełnym przyjaźni i rozczerzenia. Dobrze, ukochane, słiczne towarzyszyki moje, jakież los czeka was wszystkie? Jakąż będzie ta przyszłość która zaczyna dopiero odsłaniać przed wami różek swój tajemniczy zasłony?

Biedne, kochane towarzyszyki moje! Kiedy i jak was zobaczę znowu? i jakimi staniemy się wszystkie, gdy się spotkamy na tej ziemi po wielu upłynionych miesiącach lub latach może? Czy wszystkie wreszcie spotkamy się z sobą, czy którejś z nas na zawsze nie zabierze śmierć lub straszniejsze od śmierci burze życia?...

Emilka szlochała na dobre, Zenia całowała mnie wpół śmiejąc się przy wzmiankach o Paryżu — wpół płacząc na myśl że rozstaje się ze mną. W błyszczących oczach Helenki paliły się dwie łzy jak wielkie brylanty, i staczały się i wysychały prędko na policzkach z chorobliwym rumieńcem. Zosia od stóp do głowy owinięta w ciemne fałdzone okrycie, w kapelusiku którego pióro głęboki cień rzucało, na jej blade czoło, stała u progu gotowa do wyjścia, ale patrzyła jeszcze na mnie a w zamglonych jej źrenicach, to ukazywały się to znikwały drobne iskierki gorącej i energicznej duszy, które obok biernego wyrazu twarzy wyglądały jak tragicznych przyszłych przeznaczeń zapowiedzie. Raz jeszcze rozległo się w koło mnie kilkoma powtórzone usty „bądź zdrowa! bądź zdrowa!” potem zamknęły się drzwi, w bramie zaturkotały powozy i zostałam sama.

Otworzyłam okno bo wieczór był już wiosenny i ciepły i spójrzałam w dół na ulicę. Pod oknami szybko przejeżdżał kocyk odkryty, w nim siedziała Helenka i Zosia. Podniosły raz jeszcze twarze ku memu oknu i przesłały mi ręką znak pożegnania.

Odwrociłam się i szczerze zapłakałam.

Nazajutrz... nie, tego opisywać nie będę — tego opisać niepodobna... pożegnałam moją matkę.

Dziś jeszcze zdaje mi się iż czuję ten długi, uścisk jakim przycisnęła mnie do swéj piersi, ten pocałunek jakim do mego czoła przylgnęła.

Dziś jeszcze zdaje mi się, że widzę jej twarz bladą, z głębokimi na czole fałdami, z dwoma strumieniami łez cichych co się z jej oczu toczyły, patrzącą na mnie z za szyby okna gdy z nieodstępna moją Binią wsiadała do pocztowymi kołmi zaprzężonej karety.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

W tym samym ładnym gabinecie o sprzętach obitych paljowym aksamitem, do którego przed czterema laty wbiegłam po raz pierwszy młodzieńczą dziewczyną, stałam znowu przed wielkiem zwierciadłem i poprawiałam sobie włosy rozrzucone długą podróżą, zupełnie jak wtedy kiedy to w pierwszy raz włożonej długiej sukni i modnie uczesanej fryzurze, dygotałam tak ceremonjalnie, a swawolnie, przed nieznanym a wymarzoną i oczami wyobraźni widzianym młodą sąsiadką.

Tylko teraz już nie siedemnastoletnie swawolnie i naiwne dziewczę stało przede mną w zwierciadlanej szybie. Teraz stała tam dwudziesto-dwuletnia panna, której powierzchowność miała cechy fizycznej i moralnej dojrzałości. Na ustach jej błakał się wyraz świeżo doznanego słodkiego rozrównienia, ale w oczach była troska...

— Biedna moja matka! wyrzekłam z cicha.

— Biedna! odszepnął obraz mój w zwierciadle Obejrzałam się wkoło.

Wszystko było tak samo jak w on pierwszy dzień przybycia mego z pensji do domu matki, i wszystko jakoś inaczej. Sprzęty były te same kosztowne i smaczkowne, ale utraciły swą strojność i wyglądały tak jakby im wiele lat wieku przybyło; amfilada salonów długa była i zdobna lecz wiała pustką i jakimś niepochwytym pyłem zaniedbania była cała obleczona: za oknami piękna wprzód murawa dziedzińca sterczała gdzieś niegdzie badyłami źle pielęgnowanych uschłych roślin; z ozdobnych murowanych sztachet kawałkami opadał tynk czerniały od wilgoci, i pozostawiał czerwone plamy obnażonej cegły podobne do ran otwartych. Nie słysząc było wcale odgłosów licznej służby, przez dziedziniec tylko w pobliżu domu przeszedł ktoś z domowników, a promień jesiennego słońca prześlizgnął się po jego postaci i ukazał wytarte odzienię.

Odwrociłam wzrok od tego co mnie otaczało, i spojrzałam znowu na młodą kobietę stojącą przede mną w zwierciadle.

— Ruina! rzekłam cicho.

— Ruina! powtórzyła.

— Zupełna!

— Zupełna! powtórzyła młoda kobieta w zwierciadle ale na twarzy jej nie było trwogi.

Położyłam rękę na piersi a potem poniosłam ją do czoła. Serce uderzało mężnie i żywo, w głowie czułam myśli natłok.

Puściłam wzrok po za okna, mierzyłam nim krańce widnokręgu i ujrzałam w dali ojca mego, któremu myślą posłałam dziękczynienia za to, że twarz mi nie zbladła, ani się serce ścisnęło bojaźnią przy złowrogim dźwięku wyrazu: ruina.

Pod gankiem zaturkotało, domyśliłam się gościa, zwróciłam się ku bawialnemu salonowi. Idąc mimowoli przypominałam sobie ów przed czterema przeszło laty turkot kół zwiastujący przybycie Franusia, i moją ówczesną obawę na myśl, jak powitam pierwszego widzianego w domu méj matki gościa?

Uśmiechnęłam się na to wspomnienie. Jakże daleko byłam teraz od owéj dziecięcej pory obaw i rumieńców, jakże inną byłam od dziewczynki co wówczas stała w progu drżąca, zapłonią, nawpół z płaczem targająca jedwabne nitki które nie pozwalały jej uciec od gościa! Teraz szłam zwolna i śmiało, ale ze spuszczoną nieco głową bo pochyliła ją myśl nie-

spokojna, iż w przybywającym powitam może kredytora méj matki, jednego, strasznego, który w palce swe rozstwierające się i zaciskające co chwilę, zebrał był wszystkie nici, na jakich nad głową méj matki wisiał miecz Damoklesa grożący wygnaniem ją z pod rodzinnego dachu.

Nie on to jednak przyjeżdżał. Zaledwie weszłam do salonu zobaczyłam idącego ku mnie od progu p. Rudolfa. Powierzchowność jego nie zmieniła się, tylko na wyniosłym szlachetnym czole przybyło parę bruzd głębokich i włos pośrebrzył się mocniej. Wytając mnie podniósł spuszczone powieki i ujrzałam ten sam wzrok przenikający, migocący w źrenicach boleścią, która zdawało się że osiadła tam już na zawsze i choć wstydzając się saméj siebie, usunęła się na samą głębię wejrzenia i zgasnąć nie mogła. Gdy przemówił do mnie, głos jego tak samo jak dawniej przytłumiony był nieco i zdający się wychodzić gdzieś aż z dna piersi, tylko że posępne echa jakie w niem odzywały się wprzód, przycichły i stały się rzadsze, znać burze minione których były one odgłosem, usunęły się głębiej w przyszłość.

— Przed dwoma godzinami, wymówił zabierając miejsce, dowiedziałem się o przybyciu tu pani i chciałem pierwszy ją powitać tembardziej: że w smutnych okolicznościach wróciłaś pani w dom matki...

Przy ostatnich wyrazach głos jego stał się znowu głębszym i bardziej pełnym ech tajemniczych, bruzdy na czole zagłębiły się i powieki zapadły na źrenice.

— Okoliczności o których pan mówisz, rzekłam, smutne, w istocie ostatecznie i nieodwołalnie przywołały mnie tutaj rozkazując mi, abym stanęła przy boku méj matki i nie opuszczała ją wtedy, gdy jest strapioną i zagrożoną. Byłabym uczyniła to daleko pierwéj, gdyby nie stanowcza wola jej saméj, która dotąd nakazywała mi pozostawać przy ojcu. I teraz nawet...

— I teraz nawet, opuszczając spokojny i dostatni byt w domu ojcowskim, postąpiłaś pani wbrew żądaniu twéj matki, która pragnęła ochronić cię od tego co sama przecierpieć musi. Bądź co bądź, dobrześ pani uczyniła, bo sądzę że w krytycznej chwili całkowitej utraty majątku jaka rychło nastąpić musi, pociecha i wsparcie jedynego dziecięcia bardzo potrzebne jej będą.

Umilkł i zwykłym sobie ruchem dłonią powiódł po czole i oczach. Widnem było że przy wzmiankach o smutnym stanie w jaki popadła moja matka, ciężka jąkaś przygniatała go troska. Lubo wdzięczną mu byłam za to jego współczucie, nie pojmowałam dobrze co by miało znaczyć to wyłączenie zajmowanie się naszym losem. Nie wiedziałam aby bardzo przyjazne związki łączyły kiedykolwiek p. Rudolfa z moją matką, a przytem miałam go za człowieka złamanego zupełnie przebytymi burzami życia, i przynębnionego ciężarem nieszczęścia ze wstydem połączonego. Po chwili ozwał się:

— Z rozmowy jaką miałam z moją matką zaraz po moim przyjeździe, dowiedziałam się, żeś pan od niej jakiegoś czasu częstym bywał jej gościem, i że czas ten datuje się od pory, gdy najwidoczniej i najostateczniej rozpoczęła się jej majątkowa ruina. Opowiedziała mi także matka moja, żeś pan był jedynym z rzadkich krewnych i znajomych, którzy w nieszczęściu okazali jej współczucie i pragnęli podać rękę pomocną... Wierz mi że obie z matką odpłacamy to panu serdecznym szacunkiem.

Chciałam jeszcze coś powiedzieć, ale zatrzymał mnie nagły ruch p. Rudolfa. Wyprostował się, rumieniec pokrył mu czoło, usta drgnęły.

— Nie kończ pani! zawołał bardziej przytłumionym niż zwykle głosem. Wyobrażenia pani mieć

nie możesz jak mię zaboląły ostatnie ję słowa... szacunek... dokończył ze szczególnem nagięciem głosu, i znowu powiódł ręką po oczach zasłoniętych powiekami, które nagle opuściły się jakby pod niewidzialnym spadającym na mnie ciężarem. Byłam zdumioną i nic nie rozumiałam. Wpatrzyłam się tylko w twarz p. Rudolfa z której lata zgryzoty i burze nie mogły zdjąć piękności szlachetnej i rozumnej, a on tym czasem wymówił z cicha parę razy. Gdybyś pani wiedziała... gdybyś pani wiedziała...

Po chwili powstał, odetchnął z głębi piersi i stał przez chwilę z wzrokiem utkwionym w ziemię, jak człowiek który namyśla się co mu powiedzieć wypada.

— Przebacz pani, rzekł po chwili, że dałem się w obec ciebie unieść nierozważnemu wzruszeniu... Stało się!... Znasz może nieco przeszłość moją... były w niej błędy, wielkie, uniesienia występne... wśród tych ostatnich mozem zawinąć coś przeciwko wam... przeciwko twój matce... mozem nawet zawinąć wiele... Stało się! naprawić nie mogę... przeszłość nie wraca a jednak ciężko leży na sumieniu i przypomina się na widok cierpień sprawionych... To też człowiek podda się niekiedy wzruszeniu najsilniejszemu jakie być może na ziemi, bo wydobywającemu się z dna sumienia...

Umilkł i znowu dłonią powiódł po oczach, ale dłonią ta dłużej niż zwykle przyciskała powieki. Błady był i tak wyglądał, jakby pragnął, aby te oczy których znużenie pokrywał dłonią, co prędzej mogły zamknąć się na zawsze. Nic nie rozumiałam. Czułam tylko i widziałam, że człowiek ten który zawsze był mi sympatycznym, cierpiał w tej chwili. Zbliżyłam się i gdy odsłonił oczy wyciągnęłam od niego rękę. Podał mi swoją i wpatrywał się we mnie przez chwilę.

— Jesteś pani bardzo zmienoną, wyrzekł, ale na korzyść, dodał po krótkim milczeniu.

— Czuje to sama, odrzekłam z uśmiechem; przez trzy lata ubiegłe w domu ojca dojrzałam...

— Stałaś się pani kobietą, przerwał p. Rudolf, widząc to po myślącym pogodzie twego czoła i spokojnej głębi wejrzenia, czuć to jeszcze w dźwięku twego głosu który utracił zupełnie brzmienie dziecinne. Znać na pani wpływ rozumnego kierunku... Zaczęło i mądrego musisz mieć ojca... nie wszyscy takimi ojcami bywają...

Wymówił to wszystko trzymając moje rękę i z wyrazem tklivości na twarzy, przy ostatnich tylko słowach znowu drgnęły mu w głosie echa burz i żalości.

Uspokoił się i usiedliśmy znowu naprzeciw siebie!

— Wyznam panu, zaczęłam, że nawet nie wiem dobrze co tu przez długie trzy lata działo się i dzieje teraz. Matka moja pisywała zwykle do mnie listy tak swobodne, tak pełne najlepszych nadziei, ilekroć zamierzałam powrócić do niej nalegała na mnie, rozkazywała niemal abym pozostała przy ojcu. Parę razy przybywała do miasta w którym mieszkalam z ojcem, i zawsze okazywała mi się spokojną jeśli nie wesołą i mówiła mi, że ma wszelką pewność wybrnięcia z kłopotliwego położenia majątkowego.... Dziś rozumiem że było to tylko udanie, że widząc mnie spokojną i szczęśliwą przy ojcu, nie chciała zakłócać mego istnienia... Mój Boże! i dopiero przed kilku tygodniami, wypadkiem od kogoś co przybywając z tej okolicy odwiedził mego ojca, dowiedziałam się, iż uchodzi za zupełnie zrujnowaną i wkrótce nawet będzie zmuszoną opuścić dom własny oddając go kredytorom...

— Jednemu kredytorowi, wtrącił p. Rudolf.

— Dziś rozmawiałam z matką wprawdzie godzin

parę, ale tak była wzruszoną mem niespodzianem przybyciem, tak słabą, że obawiałam się nawet zaczepić w rozmowie o przedmiot smutny i drażliwy, i dotąd jeszcze nie wiem o przejściach jakie ją spotykały i o obecnem jej położeniu.

— Ja wszystko to znam szczegółowo, wymówił p. Rudolf, przyglądałem się majątkowemu upadkowi matki pani z większym zajęciem niż pani sobie wystawić możesz... Ma ona, macie panie obie w tych stronach jednego ale zaciętego wroga.

— Którym jest pan Henryk S, dokończyłam p. Rudolf ze zdziwieniem na mnie spojrzawszy.

— Zkąd pani wiesz o tem skoro ci matka nie mówiła?

— Czerpię tę wiadomość z pewnych wspomnień...

— I nie mylą one panią. Pan Henryk jest to jeden z rzadkich charakterów zimnych a przytem zapalczywych i zawziętych. Miłość własna dorównywała w nim miłości jaką ma dla pieniędzy, a w sprawie matki pani oba te uczucia w grę są wprawione. Doprowadzając ją do nędzy przysparza sobie majątku, a przytem mści się za otrzymaną kiedyś od pani odmowę.

— Pojmuję dobrze nikiemne sprężyny, które powodują tym człowiekiem, odparłam, ale z drugiej strony możnaż jemu samemu przypisać całe nieszczęście? Wszakże z ust matki mojej przed czterema jeszcze laty słyszałam, że stan jej majątku był już wtedy mocno zachwiany...

— Tak, przerwał p. Rudolf, ale zachwianie to nie było zbyt groźnem i upadek mógłby nie nastąpić wcale albo nastąpił by nie zupełny, gdyby nie zabieg p. Henryka. Matka pani miała długi znaczne ale nie przeciążające nazbyt jej dóbr rozległych i pięknych, odprzedanie części tych dóbr uratowałoby resztę, niedoświadczenie w rzeczach interesu, nietrafne rady i wahanie się, nie pozwoliły jej uczynić tego w porę, a właśnie wtedy gdy przechodziła kryzys któryby ją może skłonił i zmusił do zbawienia kroku, p. Henryk nabył kilka najdokuczliwszych i najniebezpieczniejszych długów, przez co uspił na chwilę jej czujność i powstrzymał przyjęcie środków zaradczych...

— Pamiętam jaką nadzieją połączoną ze zdziwieniem napełnił matkę moją ten postępek p. Henryka, przerwałam.

— Był to postępek człowieka niewypowiedzianie chytrego, przebiegłego, [kończył p. Rudolf. Liczył on tu na niedoświadczenie i niezapobiegliwość bogatej pani, która rachować nie przywykła, na pomoc lichwiarzy, na czas wreszcie który dla zadłużonych majątków jest tem czem robak dla nadgniętego owocu. Wyrachowania te nieuczciwego człowieka nie omyliły go. Matka pani uspokojona na chwilę a znaglona pieniężnemi potrzebami, które przy długach wzrastają z matematyczną szybkością, zaciągała coraz nowe pożyczki. Pan Henryk z wytrwałością godną lepszej sprawy, nabywał weksle i stopniowo stawał się panem położenia. I dziś stał się już nim zupełnie i lubo znajdują się jeszcze dla matki pani środki ratowania się, ale posiada w ręku władzę niedopuszczenia do przyjęcia takowych. Opierając się na prawem swem stanowisku jako głównie i prawie jedyny wierzyciel, nie dopuszcza żadnej częściowej sprzedaży, żadnego administracyjnego w majątku przedsięwzięcia któreby go podźwignąć mogło. Nęka pozwanymi, staje matce pani na drodze do wszystkiego co uczynić zamierza, ogromnemi rozczeniami zmusza ją do coraz nowych i coraz niebezpieczniejszych pożyczek, które znowu na jego korzyść wychodzą, i dziś w skutek jego starań i podstępów, sprzedaż publiczną dóbr matki pani jest już pewną i w bardzo niedalekim zakreślonym terminie.

Pan Rudolf mówił to wszystko spokojnie napozór ale z coraz większą trudnością. Gdy skończył przesunął ręką po oczach, jakby się bardzo zmęczył tem opowiadaniem. Milczałam długo i smutne obrazy przesuwwały się przed memi oczami. Naturalnie o sobie nie myślałam. Ale widziałam matkę moją dobrą, szlachetną i tak poświęconą dla mnie, odartą z tej szaty złocistej, świetnej w świecie pozycji, z którą od dzieciństwa była się zrosła, walczącą z ubóstwem, nędzą może na odegnanie której nie posiadała w życiu swem żadnej siły... Pytałam siebie myślą: co ja w tej toni uczynić potrafię dla matki mojej, i po raz pierwszy spojrzawszy w oczy zadaniu jakie dotąd miało zaciężyć na głowie mojej, sercu i rękach...

Nie miałam jednak czasu tym razem długo zastanawiać się nad tem, bo zbudziły mnie z zamyślenia szybkie po salonie stapania. Spojrzałam i zobaczyłam, że pan Rudolf powstawszy z miejsca wzburzonym krokiem chodził po pokoju. Spuszczone czoło jego powlekło się ciemnym rumieńcem, na ustach wisiał gorzki wyraz. Gdy spostrzegł że na niego patrzę, stanął nagle przede mną i wyrzekł zwykłym sobie przytłumionym ale pełnym mocy głosem:

— To gad... to płaz zjadliwy... to nikiemnik... zdeptałbym go... wrzuciłbym go w otchłań hańby... i mógłbym to być uczynić... mógłbym, gdybym...

Uderzył się dłonią w czoło.

— A! zawołał z boleścią, można popełnić występpek a jednak mieć prawo i szlachetne serce, ale kto wróci następstwa występku?

Upadł na fotel i głowę na piersi opuściwszy pograżył się w tak posępnem dumaniu, że zdawał zapominać o mojej obecności.

Mimo głębokiego zasmucenia mego nieszczęściem spotykającem mą matkę, długo wzrok i uwagę zatrzymałam na tym człowieku. Dawniej widywałam go zwykle milczącym, nigdy nie słyszałam aby wspominał o swjej przeszłości, nigdy nie wiedziałam aby okazał się czemkolwiek silnie wzruszonym. Wyglądał zwykle na człowieka, który przeżył wszystko co miał do przeżycia, i patrzył już tylko w ziemię czekając rychło się w niej grób dla niego otworzy.

Teraz zdawało się, że mimo wysileń nie mógł zamknąć w sobie tego co się w nim działo, mówił wiele, ubolewał i widocznem było, że jakaś nie tajemna wiązała los mojej matki z tą przeszłością jego, której wspomnienie drżało i huczało mu w piersi głosem sumienia a może niewymarłych jeszcze żalów.

Podniósł głowę i zapytał:

— Gdzie jest matka pani?

Odpowiedziałam że wzruszona powitaniem i rozmową ze mną, udała się przed godziną do swego pokoju aby spocząć przez chwilę.

— A więc i ja odjadę, rzekł powstając. Przyjechałam aby powitać panią i dowiedzieć się czy co nowego tu nie zaszło, i czy mnie do czegokolwiek nie potrzebujecie. Jutro będę tu znowu...

To rzekłszy uściśnął mi rękę i prędko opuścił salon. Po odejściu jego dopiero przypomniałam sobie, że nie zapytałam go o Rozalję ani o resztę rodziny. Jakkolwiek jednak interesował mnie los kuzynki o której oddawna nie wiedziałam, nie mogłam w owej chwili odwrócić na długo myśli, od katastrofy która wisiła nad głową mej matki.

(d. c. n.)

MAŻ I ŻONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

TŁOMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Paulinę Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

SCENA DZIEWIĄTA.

Dwie Kobiety.

XLIII.

Juliusz Delamayn z wolna chodził po tarasie przygrywając sobie na skrzypcach. Pierwsze cienie przedwieczorne poczęły przysłaniać jasny błękitny lazur nieba. Kilka godzin pierwej, Juliusz zrobił poświęcenie dla swoich obowiązków politycznych, jak tego ojciec wymagał, był na mityngu w Kirkan-drew i powiedział mowę. Duszna atmosfera, niesfor-ni słuchacze, zuchwałość przeciwników, grubowate przerywania i wymagania niedorzeczne, ściskanie rąk zbrudzonych, otóż czego doświadcza angielski szlachcic, ów tak sławiony gentleman, ażeby wydo-być się ze skromnego domowego zacisza, i stanąć w światłokręgu sławy, która Izbę gminną opromie-nia...

Juliusz przetrwał to wszystko z cierpliwością nie-zrównaną, i powrócił do domu więcej jeszcze obojęt-ny jak kiedykolwiek, na wszelkie parlamentowe do-stojenstwa. Po krzykach i wrzawie zatęsknił do Mozarta. Podjął ulubione skrzypki i wyszedł na ta-ras, ażeby po nieznośnych trudach i znojach dnia całego ochłodzić się i wypocząć chwilę.

Wychodząc z sali muzyki zadzwonił. Służący nad-biegł.

— Gdzież jest pani? zapytał.

— Pani wyjechała, i dopiero wieczorem powróci odrzekł lokaj.

Juliusz poruszył głową z niechęcią. Najpiękniej-sza muzyka jaką Mozart utworzył na skrzypce, po-trzebuje koniecznie fortepianu.

— Czy mistress Glenarm wyjechała także?

— Nie, sir.

— Pokłoń się jęj ode mnie i proś, ażeby zejść ra-czyła na salę do fortepianu. Zajęty przygotowania-mi do spodziewanej muzyki, spostrzegł że jakaś zu-pełnie nieznajoma mu kobieta zbliża się ku niemu. Sądząc więc, że to jaka znajoma jego żony, wyszedł na jęj spotkanie i zapytał z największą uprzejmo-sścią...

— Zapewne pragnie pani z moją żoną się zoba-czyć, ale na nieszczęście nie ma jęj w domu.

— Mistress Delamayn nie zna mnie wcale odrze-kła nieznajoma. Służący mi powiedział, że wyjechała i że tu znajduję pana.

Juliusz się pokłonił i czekał co mu powie dalej.

— Wybacz pan natręctwo moje i pozwól, bym pomówić mogła z panią która tu bawi.

— Z mistress Glenarm zapewne?

— Tak jest.

— Przyjaciółka mistress Glenarm miłym dla nas będzie gościem.

— Jestem dla mistress Glenarm zupełnie obcą osobą.

Juliusz zdziwiony spojrzał na nieznajomą.

— Nazwisko moje wyjaśni rzecz całą, odezwała się Anna z oczami utkwionemi w ziemię. Jestem Anna Silwester...

Juliusz zadrgnął i spojrzał na nią w niemem zdu-mieniu. Nazwisko dwoiście mu znanem było. Raz pierwszy posłyszał je z ust chorego ojca, by udzielił pomocy kobiecie która je nosi. Drugi raz w połą-czeniu z imieniem Godfryda, bo mistress Glenarm nie tylko, że narzeczonego wezwała by odparł rzu-coną nań potwarz, ale nadto przesłała odpis anony-mowy i do Juliusza. Godfryda obrona bynajmniej nie zaspokoila brata, a teraz, patrząc się na miss Silwester, o winie jego tym więcej nabierał przekona-nia. Bo czyliż ta kobieta, tak skromna, pełna wdzięku i prostoty, z powabem dobrego wychowania, mogła być awanturnicą jak ją Godfryd przedstawiał? Czy-liż osoba tak ujmującej powierzchowności, mogła być spółniczką podłego włóczęgi, który anonimem pragnął wyzyskiwać mistress Glenarm? Niepodobna! Ze wszech miar niepodobna!

— Nazwisko pani jest mi znane, odezwał się Jul-jusz patrząc bacznie na Annę, mój ojciec wspomniał je gdym go raz ostatni widział w Londynie.

— Ojciec pański? zapytała Anna z największym zdziwieniem, Halchester?

— Tak, pani.

— Cóż za powód był tego mną się zajęcia?

— Był chorym wtedy, przypominał sobie chwilę minionęj przeszłości nieznanej mi całkiem. Mówił, że znał rodziców pani i żądał, bym ofiarował pani usługi moje i opiekę gdybyś ich kiedy potrzebo-wała.

Anna przysunęła się do niskiego muru tuż obok i oparła na nim rękę. Juliusz wyrzekł dla niej wy-razy strasznego znaczenia, teraz się dopiero do-wiedziała, że ten który ją zdradził, był synem czło-wieka, który się przyczynił do opuszczenia matki jęj przez męża. Przejęta zabobonną trwogą pomyślała mimowoli, czyliżby fatalizm przeznaczenia dziwnego niewidzialnym otaczał ją łańcuchem?

Juliusz widząc ją żałośnie pochyloną, przystąpił do niej ze współczuciem.

— Czyliż mogę co uczynić dla pani? zapytał. Pani pobladała, jesteś słabą, przecie nie nie powie-działam takiego czembym mógł przynieść zmar-twienia.

— Powiedziałeś, że nie wiesz co ojciec pański miał na myśli gdy mnie polecił jego opiece?

— Jestem tego zupełnie nieświadomy.

— I brat pański także?

— Ręczę za to, ale pani zdajesz się znać powód polecenia danego mi przez ojca, pozwól zatem za-pytać...

— Nie pytaj! przerwała Anna błagalnie. Jest to bez interesu dla pana i nie ma styczności żadnej z moją tutaj bytnością. Ale, udaję się do wzglę-dnej dobroci pańskiej i zapytuję: czy kto inny je-szcze z rodziny pana nie wspominał o mnie?

— Czy koniecznie o tem mamy mówić? odrzekł Juliusz dziwiąc się, że Anna sama dotknęła tak dra-żliwego przedmiotu.

— Gdyby to nie było koniecznością — odrzekła czy sądzisz, że zniewoliłabym siebie do takiego py-tania? Przypomnij sobie, że jestem tutaj przymu-sowo tylko, i jeżeli jasno i otwarcie nie rozmówię się, położenie moje stanie się bardziej drażliwym. Mam mistress Glenarm coś do powiedzenia o owych listach bezimiennych, a nadto jeszcze i co do jęj projektowanego zamęścia. Wprzódki wszelako po-winnam panu była powiedzieć kto jestem. Słysza-

łem zapewne mówiących o mnie dość niekorzystnie... czytam to nawet z twarzy pana... Okazałem mi względność, jako obcej zupełnie, korzystam z niej obecnie. Dorozumiesz się zatem pewno, dla czego brata pana wspomniałam? Czy pozwolisz mi pomó-wić z mistress Glenarm?

Wypowiedziała to z taką prostotą, skromnością i nieudaną godnością, że Juliusz znówu cały jęj po-wrócił szacunek i współczucie.

— Położyłaś pani, odrzekł, we mnie zaufanie, z ja-kim mało wystąpiłoby osób zostających w położe-niu pani! Jestem zatem obowiązany z równą prze-mówić ufnością. Wierzę, że masz powody po temu które uszanować powinienem, ale widzenie się z mis-tress Glenarm zależy zupełnie od niej nie ode mnie.

Z sali muzycznej ozwały się dźwięki fortepianu, Juliusz wskazał jęj drzwi szklane mówiąc:

— Możesz pani wejść a znajdziesz tam osobę z którą pragniesz pomówić.

Gdy Anna stanęła przy drzwiach, zatrzymała się przez chwilę, by pierwej zebrać myśli. Pro-jektowane małżeństwo Godfryda nie ją już nie ob-chodziło, bo z serca jęj miłość dla niego zniknęła i pozostała tylko pogarda. Chęć pomówienia z mis-tress Glenarm spowodował domysł Bishopriggsa, który jęj tak bez ogródki wyjawiał, że poślubioną zo-stała Arnoldowi. Występując z prawami swojemi do Godfryda, wiedziała że wywoła z jego strony czelną jaką odpowiedź, w interesie zatem Bianki uz-nała, że powinna udać się do Swanhawen bez zwłoki i rozmówić się osobiście z osobą, równie jak ona w sprawie tęg interesowaną.

Radaby była powiedzieć pani Glenarm, że zrzeka się praw wszelkich do Godfryda, byle on tylko na-prawił złe, które Arnoldowi i Biance wyrządził. „Zasłub go pani” — chciała jęj wyrzec — „a ja na przeszkodzie nie stanę, ale niech Godfryd usunie wątpliwość co do małżeństwa Arnolda i Bianki”. Wszystko to ułożyła sobie w myśli przedtem, ale gdy już jedną stopę miała na wschodach, owładło ją zwątpienie w pomyślny skutek swego przedsięwzięcia. Cała jęj nadzieja polegała na wymarzonem szacun-ku dla kobiety, której zupełnie nie znała a nawet ni-gdy w życiu nie widziała. Cóż się więc stanie, gdy zaraz po pierwszych słowach nabierze przekonania, że się w przypuszczeniach swoich zawiodła?

Juliusz spostrzegł to jęj wahanie się z drugiego końca tarasu, i właśnie zbliżał się do niej, gdy sama wyrzekła do siebie. „Za daleko zaszłam, bym się cofnęła. Niechaj stanie się wola Boża!” Z rozpacz-liwą potem odwagą otworzyła drzwi szklane i we-szła.

Mistress Glenarm od fortepianu powstała, i stanę-ły naprzeciw siebie dwie kobiety: jedna strojna bo-gato, druga skromnie ubrana. Tamta w całym roz-kwicie piękności a ta zwiędła i pobladała; u stóp tam-tę zbierało się towarzystwo — a ta odepchnięta od niego błąka się jak samotnica własnym złamana wy-rzutem.

Pokłoniły się sobie nawzajem i jedna spojrzeniem zmierzyła drugą.

— Żałuję, że służba nie powiadomiła panią o nie-obecności mistress Delamayn — odezwała się pier-wsza wdowa, spoglądając bacznie na Annę.

— Przepraszam, ale nie przybyłam do mistress Delamayn...

— Więc do pana Delamayn zapewne? Zaraz tu nadejdzie.

— Dopiero com go tu widziała. Przybyłam tu.. wybacz pani... i biedna zastanowiła się, bo nie wie-działa co dalej mówić.

— Domyślam się żeś pani do mnie przybyła, odezwała się wdowa, lecz siadaj pani, bo uważam że jesteś znużoną.

Anna już ledwo utrzymać się mogła na nogach: siadła więc zaraz a mistress Glenarm palcami jednej ręki zlekka przebiegając klawisze, mówiła jednocześnie.

— Widziała pani zapewne pana Juliusza Delamayna? Jest to człowiek żyjący tylko dla skrzypków swoich i pani przybyłaś zapewne, ażeby grać wspólnie z nami? Pan Juliusz jest prawdziwym fanatykiem muzycznym ale czemuż nie przychodzi? Przekładasz pani zapewne klasyczną muzykę nad tak zwaną romantyczną? O! i ja ją wolę, bo zalety ma nieporównanie wyższe. Ale... ale... Czy wiedziałaś, że tu jestem? Czy mogę o nazwisko pani zapytać? Wszystkie te pytania, tak szybko po sobie następowały, że odpowiedź na nie była niepodobna, pozostały zatem Annie chwilę do namysłu i zastanowienia się.

— Wszakże mówię z mistress Glenarm? zapytała.

— Tak pani, jestem nią.

— Przychodzę tu za pozwoleniem pana Juliusza Delamayna, by z panią pomówić w interesie, który ją obchodzi zbliżająco.

Upierścienione palce mistress Glenarm przestały brzdąkać klawiszami, a twarz jej okrągliła przybrała wyraz szczególnego zdziwienia.

— Mam nie jeden interes—odrzekła to i o cóż tu idzie?

— Chcę z panią mówić o tem —odrzekła Anna, co zaszło, gdy pani bawiłaś w okolicy Perthu.

Zdumienie na licu wdowy przemieniło się w niechęć i podejrziwość. Spojrzała badawczo na Annę i pomyślała: co by to być mogło? Czyby Godfryd.. ale ta nieznajoma: nigdy piękną nie była, wygląda bardzo nieokaznie, ubrana jak służąca a z manierami damy. Cóż to być może?

— Przepraszam! rzekła wreszcie, pani nazwiska nie wymieniłaś swojego, bo nie dosłyszałaś pewnie że o nie zapytywała. Nie nawykłam pamiętać twarzy, które spotykam przypadkiem w salonach, zwłaszcza że nie jestem pewną, czy miałam kiedy przyjemność spotkać się z panią?

— Nigdy.

— To dziwne, pragniesz więc zapewne pani rozmówić się ze mną o przedmiocie, który mnie obchodzi i najbliższych przyjaciół moich?

— Tak, pani. Chcę mówić o tych listach beziemiennych, które ci zapewne wiele niepokoju sprawiły...

— Po raz trzeci, pozwól pani, że się zapytam o jej nazwisko?

— Wymienię je wkrótce a teraz przedewszystkiem pragnę przekonać panią, że tu z przyjaznym przybyłam usposobieniem i że nie potrzebujesz lękać się niczego, jako osoby ożywionej dla pani najlepszych chęci.

— Wybacz pani, ale nie wiem czemu tę życzliwość przypisać ze strony zupełnie mi obcej osoby?

— Osoba, która pani anonimowy przesłała wspominała o listach, które były w jej posiadaniu. Otóż listy te znajdują się obecnie w ręku, które z nich żadnego użytku nie robią. Możesz pani tego być pewną.

— Mogę być pewną? powtórzyła wdowa i spojrzała Annie w oczy badawczo. Zkądżeż pani wiedzieć możesz co tamten ktoś pisał? Zkądżeż wiesz, że listy obecnie w innym są ręku? Któż pani jesteś?

Zanim Anna odpowiedzieć zdołała, wdowa powstała nagle, zelektryzowana myślą, i zawołała z wybuchem niepokonaną zazdrości...

— Ach! człowiek ten prócz listów, wspominał także i o kobiecie... czyżbyś była tą kobietą?

Anna powstała spokojna i odrzekła z powagą:

— Ostrzegam panią a raczej zaklinam, nie przemawiaj w ten sposób do mnie, uspokój się, bo to co mam do powiedzenia, więcej panią obchodzi aniżeli przypuszczać możesz. Wyznaję, żeś odgadła: jestem na nieszczęście tą nieszczęśliwą kobietą, którą Godfryd Delamayn opuścił.

— To fałsz! krzyknęła mistress Glenarm! Przychodzisz do mnie z kłamstwem... nie pojmuję jak mnie Juliusz Delamayn na coś podobnego mógł narazić? i zapominając o wszelkiej towarzyskiej przyzwoitości, dodała w zaciętości niepowściągliwej, zadzwonię na służbę i każe cię wyrzucić! Przy słowach tych chciała targnąć zataśmę od dzwonka, lecz Anna zastąpiła jej drogę.

— Posłuchaj mnie! ozwała się Anna.

— Ja mam ciebie słuchać? wrzasnęła wdowa. Nie masz prawa pozostawać tu dłużej, wychodź stąd natychmiast!

— Miej się na baczności, mistress Glenarm! odrzekła Anna powstrzymując uniesienie. Nie jestem cierpliwą z natury, i tylko nieszczęścia złagodziły we mnie burliwość wrodzoną. Ale wszystko ma swoje granice a ja mam prawo byś mnie wysłuchała, i musisz to zrobić.

— I któż mnie do tego przymusi? Czyż ty bezwstydną coś została zaślubioną Arnoldowi Brinkworth?

— Czy to Godfryd Delamayn tak powiedział?

— Nie odpowiadam kobiecie, która w ten sposób mówi o panu Godfrydzie Delamayn.

Anna przystąpiła bliżej.

— Czyliż to Godfryd Delamayn powiedział? pytam się raz jeszcze.

Było coś w jej głosie i spojrzeniu tak nakazującego, że mistress Glenarm jakby mimowoli odpowiedziała:

— Tak on mi to powiedział.

— To skłamał! zawołała Anna, i jeżeli powiedział, że Arnold Brinkworth ślubował inną, a nie Bianca Lundie, to skłamał beczelnie!

— Ty kłamiesz i słowa twoje są potwarzą za które ciężko odpokutujesz, krzyknęła wdowa drżąc prawie z oburzenia.

— Więc wierzysz, że jestem żoną Arnolda Brinkworth? zapytała Anna.

— Tak jesteś nią, może byłaś kochanką. Godfryda Delamayna, ale żoną jesteś Arnolda Brinkworth.

Na te słowa gniew, który Anna powstrzymywała całą siłą woli, z tem większą wybuchnął mocą. Powstała nagle i zarumieniona, rozgorączkowana rzekła głosem stanowczym:

— Mistress Glenarm, sądz jak chcesz, ale ci powiadam, że ja, tak ja nie dopuszczę nigdy małżeństwa twojego z Godfrydem. On musi mnie żoną swoją uznać, mam tutaj jego pismienne przyrzeczenie i będę żoną jego mistress Glenarm, zanim tydzień upłynie. Patrz! oto dowód o którym w anonimie do ciebie wspominałem.

Mistress Glenarm przestraszona, że Anna posiada może rzeczywiście dowód, tyle ważny, jak dziecko niesforne, odrzucając wszelką przyzwoitość pod wpływem bezsilnego gniewu zawołała:

— List ten jest podrobionym! Nie masz dowodów żadnych... Nie chcę ich, bo Godfryd jest niewinnym, to wszystko potwarz najszkaradniejsza!

— Oto dowód niezbity! mówiła Anna list pokazując i dopóki ja żyję, ty żoną jego nie będziesz!

Mistress Glenarm rzuciła się ku Annie by wyrwać jej papier z ręki.

W tej chwili drzwi otworzono, i Juliusz Delamayn wszedł do pokoju. Zdziwiony [niezwykłym rozdrażnieniem obu rozmawiających kobiet, zatrzymał się

chwilę w milczeniu i zwracając się do Anny, rzekł z największą grzecznością:

— Przepraszam, że mimowoli może przeszkodziłem, jeżeli jednak panie pragniecie pozostać same....

— Wywołano we mnie oburzenie postępowaniem niewłaściwym panie Delamayn, przerwała Anna nagle zupełnie uspokojona: przebaczyć może nadużyła swojej dla mnie względności, ale rozmowa nasza już skończona, racz więc przyjąć moje pożegnanie.

I rzekłszy to z twarzą zalaną łzami podsunęła się ku drzwiom, które jej Juliusz z grzecznym otworzył ukłonem.

Mistress Glenarm zwróciła teraz gniew swój na Juliusza:

— Musiałam przyjąć tę kobietę, i to z wolą pana, master Delamayn —odezwała się z wymówką, teraz i ja pójdę za jej przykładem i także dom pana opuszczę, bom to winna własnej godności.

— Ułatwiłem jej widzenie się z panią, bo nie sądziłem za właściwe stawiać temu przeszkodę. Jeżeli to pani przykrość zrobiło, żałuję szczerze i przepraszam, ale sądzę że więcej tu litować się należy jak potępiać.

— Litować się? przerwała mistress Glenarm, pan mówisz litować się?

— Tak, pani, litować się!

— Widocznie uznałeś za właściwe zapomnieć to co brat pański o niej powiedział. Lecz ja pamiętam to dobrze...

— I ja także pamiętam, ale znam Godfryda...

— Więc nie wierzysz bratu?

Juliusz nie chciał tego przyznać wyraźnie w obec kobiety, która miała żoną Godfryda zostać; odrzekł więc z pewnem wahaniem:

— Nie mogę twierdzenia jego pogodzić z całem ułożeniem miss Silwester i przypuścić, ażeby sir Patrik oddając bratanek Arnoldowi Brinkworth, dopuścił spełnienie wielożeństwa.

— O mój panie! małżeństwo tej kobiety z Arnoldem Brinkworth było potajemnem, i sir Patrik o nim z pewnością nie wiedział.

Juliusz przyznał że to być mogło, a oświadczenie Juliusza jakkolwiek bardzo umiarkowane, ale połączone z tem co posłyszała z ust Anny, obudziły w mistress Glenarm podejrzenie co do wiarygodności zeznań Godfryda. Zgnębiona podejrzeniem rzuciła się na krzesło, zasłoniła chusteczką oczy i wybuchnęła płaczem:

— Pan zawsze nienawidziłeś biednego Godfryda! zawołała wśród głośniego łkania, a teraz go jeszcze i potępiasz!

— Zawsze nienawidziłem Godfryda? powtórzył Juliusz z zadziwieniem, niedotknięty bynajmniej tym niesłusznym zarzutem, jak pani możesz coś podobnego przypuszczać? Czyż nie ja przywiozłem go z Londynu, aby mu ułatwić zaszczytne dla nas poznanie się z panią?

— Dla mnie byłoby stokroć lepiej, gdybyś go w Londynie był zostawił! Tak byłam szczęśliwą zanim go poznałam!.. Ratuj mnie! Wybadaj prawdę panie Juliuszu, zlituj się nade mną! Kocham go tak kocham z całem uczuciem prawdziwej miłości.

— Uczynię wszystko, co tylko będę mógł zrobić odezwał się Juliusz. Pomówimy o tem obszerniej gdy pani uspokoisz się nieco.

— Och! panie Juliuszu, dziś jestem w takim usposobieniu, że prawie myśli zebrać nie mogę. Ale jakżeż się dowiem, czy ta kobieta jest zamężną lub nie? Kogóż o to zapytam? Nie mogę o to badać Arnolda Brinkworth, bo go nieznam wcale.

— Są świadkowie: gospodyni w Craig Fernie i posługacz.

— Lndzie gminni, którzyby chcieli z położenia rzeczy korzystać.

— A lady Lundie, przyjaciółka pani? Musi ona przecie coś o tem wiedzieć.

— Ach! prawda, jedyna to osoba! zawołała mistress Glenarm uradowana. Jakże ci wdzięczną jestem panie Juljuszu, za podsuniecie tak zbawczej myśli.

Nazajutrz mistress Delamayn i mistress Glenarm pojechały razem do Windygates.

Koniec części drugiej.

SCENA DZIESIĄTA.

Pokój sypialny lady Lundie.

XLIV.

Lady Lundie leżała w łóżku. Odebrała, jak wiemy list od Bianki, w którym jej doniosła o ich nagłym ze stałego ładu powrocie. Poczem napisała zaraz nie do pasierbicy, ale do sir Patrika jak to wiemy także, i czekając na odpowiedź uznała, że powinna we własnym domu, w przynależnym na wszelki wypadek okazać się świetle, jak przystoi na niewiastę pełną godności, która dotkliwie przez rodzinną meża zranioną została. Zachorowała przeto i leżała w łóżku, że zaś choroba niebezpieczny mogła przybrać charakter, przyzwano zatem znakomitego lekarza z Kirkandrew.

Doktor przybył przysłanym po siebie powozem. Wziął za puls wielką damę, poczynił niektóre pytania i rzekł ze współczuciem:

— Nerwy, to nerwy nieszczęśliwe. Pozostań pani w łóżku spokojnie a na uspokojenie, zapiszę uśmierzające lekarstwo.

Lady Lundie zatem leżała w łóżku, w czepeczku z pięknych koronek, w prześlicznym kaftaniku batystowym, bielutkim, z zawiazkami z różowych wstążek. Wachlarz, flakon eleganci z najwyborniejszym modym *Ylang-Ylang* i chusteczka pajęcza spoczywały przed nią. Obok na stoliku stała buteleczka z odwarem lawendowym zapisanym przez doktora, bliżej leżała książka do nabożeństwa, a po za książką, modlitewną notatkiienne, rachunki domowe i spis kuchenny.

Jedno z okien stało otwarte, by świeże nim wchodziło powietrze. Przez nie wyglądał na ogród z przeciwną ścianą s. p. Sir Tomasz, to jest dobrze wykonany własny jego portret. Wszystko najwyższy przedstawiało porządek. Każde krzesło na swoim było miejscu, a gotowalnia różnemi błyszczała skarbami i wyszukaną elegancją.

Panna służąca zwolna drzwi otworzyła, przemknęła po dywanie na palcach i stanęła przy łóżku. Powieki chorąg były zlekka zawarte, lecz otworzyła je zaraz i wymówiła.

— Nie śpię, Hopkins. Cóż powiesz?

Hopkins położyła przed nią dwa bilety wizytowe: mistress Delamayn i mistress Glenarm.

— Powiedziałas zapewne żem chora?

— Powiedziałam, mylady. Mistress Glenarm weszła do biblioteki i napisała do pani. Oto jej list.

— Czy odjechały?

— Jeszcze nie, mylady, mistress Glenarm prosi o odpowiedź.

— Nierozważna! Gdy doktor nakazuje mi spokójność zupełną, żądać odemnie przyjęcia etykietałnego

i tak mnie narażać na większe zdenerwowanie. Ale jedna ofiara więcej, to i cóż znaczy? podjęła flakonik z pachnidłem, orzeźwiła się nieco a potem list przeczytała, który zawierał co następuje.

„Bardzo smutna, że pani jesteś uwięzioną w sypialni swojej! Przybyłam z mistress Delamayn w nadziei, że będę mogła zapytać o coś co mnie wielce interesuje. Wybacz mi zatem przez dobroć swoją nieporównaną, że to czynię piśmiennie! Czy pani miałaś niedawno wiadomość jaką o panu Arnoldzie Brinkworth? To jest pytanie, które panią zadziwia, nieprawdaż? Czynię je wszelako dla ważnych bardzo powodów. Przy pierwszym widzeniu opowiem wszystko, proszę tylko o słówko: tak albo nie. Tysiąc razy przepraszam i życzę, rychłego polepszenia zdrowia!”

Bilecik mistress Glenarm szczególnie na lady Lundie zrobił wrażenie. Bo wdowa, albo wiedziała dla czego młoda para powróciła tak pospiesznie z podróży, albo też posiadała klucz do tajemnicy, która w Ham Farm się kryła. Ciekawość jej zatem szczególniej była podniecona.

— Hopkins! wymówiła, poruszając się na posłaniu. Muszę przyjąć mistress Glenarm.

Hopkins uniosła ręce z podziwu, że mylady chciała przyjąć gościa w sypialnym pokoju, będąc chorobą złożoną.

— Czynię to z poczucia obowiązku, Hopkins, podaj mi zwierciadło.

Hopkins podała jej śliczne w bogatej oprawie lustro, lady Lundie przejrzała się i obejrzała wszystko troskliwie wkoło siebie, czy każdy na niej szczegół w należytych znajduje się porządku poczem wyrzekła:

— Wprowadź teraz mistress Glenarm.

Po chwili wsunęła się piękna wdówka do pokoju, ustrojona z przesadą jak zwykle, pełna wdzięczności za uprzejme względy mylady, a zarazem i pełna o jej zdrowie obawy. Lady Lundie uśmiechnęła się wdzięcznie, poprosiła uprzejmie ażeby usiadła i odezwała się zaraz:

— O czemuż to droga pani w liście swoim wspominałaś? Więc już wiadomo, że Arnold Brinkworth i Bianka wrócili z Badenu?

Mistress Glenarm spojrzała zdziwiona a lady Lundie mówiła dalej:

— Mieli pojechać do Szwajcarii a powrócili nagle do Ham Farm!

— Nie o tem chcę mówić, mylady. Ale czy pani nie więcej nie wiesz o Arnoldzie Brinkworth?

— Nie, a cóżbym innego mogła wiedzieć?

Nastąpiło chwilowe milczenie. Mistress Glenarm bawiła się parasolką a lady Lundie patrzyła na nią ciekawie.

— I cóż pani wiesz o nim? zapytała z widocznym zaciekawieniem.

— To trudno opowiedzieć... są pewne wypadki... pewne...

— Zniosę wszystko prócz niepewności, choćby i rzecz najgorszą. A zatem słucham!

— Czy pani nie słyszałaś nigdy, że... że Arnold miał związek z inną kobietą, zanim ożenił się z miss Lundie?

Chora przymknęła powieki, i ręką szukała flakonu. Mistress Glenarm podała go i czekała odpowiedzi w mileczeniu.

— Są rzeczy które wiedzieć muszę! odezwała się lady Lundie, z obowiązku mego stanowiska, ale nie mam wyrazów na wyrażenie mego zadziwienia o tem com usłyszała w tej chwili. Zkąd pani wiesz o tem że Arnold ten ukochany mąż Bianki, miał jakieś poprzednie związki nie bardzo pochlebne?

— Od pana Godfryda Delamayn.

— Najlepszy przyjaciel Arnolda, odrzekła z boleścią. Musi więc wiedzieć dobrze skoro pani o tem zawiadomiła. Ale to straszne, okropne! Dla czegoż zrobił panią powiernicą, tak straszną tajemnicę?

— Wkrótce ma nas połączyć ślubny związek, wyjawienie więc jej bardzo naturalne.

— Nic nie rozumiem! Na Boga, wypowiedz pani to jaśniej? zawołała nagle lady Lundie.

— Czy pani nie nie słyszałaś o listach bezimiennych które mi zostałam obdarzona?

— Cokolwiek, ale tylko tyle co wyczytałam o nich w pismach publicznych. Wiem że w całej tej sprawie Godfryd był zupełnie niewinnym. Opowiedz mi więc pani wszystko szczegółowo.

— Godfryd, odrzekła wdowa, objaśnił mnie, że kobieta która potrafiła zaskarbić sobie chwilowo jego zajęcie, jest zaślubioną tajemnie innemu, a ten ją haniebnie porzucił. Została więc bez sposobu do życia, i jedynie w rozpacz tak nieczemnych chwytów się środków, wmawiając w Godfryda jakieś wymarzone prawa do jego osoby. Nie dowierzałam wszelako temu objaśnieniu Godfryda, dopóki mi nazwiska jej męża nie wymienił. Teraz jednak wierzę zupełnie, bo ten niedawno ślub wziął z inną jak nas o tem pewne doszły wieści.

— Więc master Godfryd wymienił nazwisko tego człowieka zawołała z oburzeniem lady Lundie.

— Tak.

— Czy znam go?

— Ach, nie pytaj mnie pani o to.... lękam się....

— Pani się lęka? przerwała chora lady i bezsilnie opadła na poduszki. Mistress Glenarm chciała zadzwonić.

— Daj pani pokój! — zawołała chora. Przetrawam wszystko! Czy to jest prawda, pani? Och czy to prawda? Otwórz pani srebrną skrzyneczkę na toalecie, i podaj mi list leżący na wierzchu. Jest to pismo Bianki. Przeczytaj! Przeczytałam że coś strasznego zaszło, a teraz się dopiero o tem dowiaduję.

— A! zawołała nagle mistress Glenarm, przeczytawszy imię Anny Silvester. Otóż i potwierdzenie! Uznano, że Arnold Brinkworth tę kobietę zaślubił Godfryd jest więc wolnym i niewinnym. O moja droga pani, jakież mi spadł ciężar z serca...

Lady Lundie otworzyła oczy.

— Co mówisz? zawołała nie jeszcze nie rozumiem.

— Widziałam ją wczoraj, mówiła dalej wdowa nie zwracając na zrobioną sobie przerwę. Przymusiła mnie do rozmowy z sobą. Nazywała Godfryda poprostu Godfrydem Delamayn, co mnie strasznie oburzało, i odzywała się z prawami swojemi w sposób najbezczelniejszy. Zachwiała nawet wiarę moją, moją wiarę w Godfryda czy pani pojmujesz całą szkaradę tej nieczemnej intrygi?

— Któż więc ona jest i jakie jej nazwisko?

— Kto? toż że pani wiesz, a jej nazwisko w tym tutaj jest liście wypisane... Anna Silvester.

Lady Lundie padła na posłanie jakby na wskroś mieczem przebita, mistress Glenarm na równych stanęła nogach a Hopkins ukazała się we drzwiach pełna przerażenia. Chora skinęła na służącą by cofnęła się, a gościowi wskazała krzesło.

— Siadaj pani!... zostaw mi chwilę bym odetchnęła cokolwiek... bym zmysły mogła zebrać i przekonać się czym nie w gorączkowym czasem paroksyzmie.

(d. c. n.)

Opis N. 17.

N. 29 — 30.
Jajko jako nese-
serka.

Robota na tiulu.

Z cienkiej tek-
tury pudełko in-
troligatorskiej
roboty, złożone
z dwóch rów-
nych połówek w
kształcie jajka,
pokrywa się z
wierzchu kolo-
rową mater-
ją i tiulem.
N. 1. Oszycie z sznurową fren-
dzą do paletota ryc. 5 w Tyg.
Mód. N. 19.
wywodzo-
nym jedwa-
biem i włóczką. W tym celu wykrawa się
z tiulu i materji owale odpowiednie wielkości
pudełka, wywodzi podług podawanych przez
nas wzorów, brzegiem wycina w równych
odstępach w 12 zębów 1 cent. szerokich a o-
koło 3 cent. długich. Zęby te obejmuje się
wstążeczką kolorową jak to N. 29 wskazuje,
przyszywa równo i gładko do brzegu pu-
dełka, który otacza się drucikiem i
obejmuje wstążeczką. Następnie w środku
daje się dwa owale cienkiej tekstury, z wier-
chu cokolwiek podwatowane i materją po-
kryte, przy których umieszcza się przyrzą-
dy do szycia. Owale te przyczepia się z jed-
nej strony do połowy jajka w
taki sposób, ażeby można je
podnosić, a pod spodem mieć
schowanie na jedwab, bawełnę
i inne drobiazgi, poczem obie po-
łówki łączą się z sobą i od środ-
ka oszywają wążutką koronecz-
ką, górna zaś połowa oszywa się
dla pokrycia otworu, wstążeczką
haftowaną ściąganiem długim i
wiąże kokardą ze wstążki.

N. 31. Jajko jako doniczka
do kwiatów.

N. 4. Garnirunek z dwoistych
plisek do ryc. 21 i 45 w Tyg.
Mód N. 19.

Surowe jajko kurze, kaczę lub gęsie natłukuje się o-
strożnie od śpiżastego końca i wylewa, potem 1/3 część
próżnej skorupki obcina się równo ostremi nożyczkami, na-
pełnia ziemią w której sadzi się Sedum (Eispflanze) roślina
dla braku miejsca puszcza korzonki na zewnątrz, rozrasta
się i drobne gałązki obficie zwiesza dokoła. Tej impro-
wizowanej doniczce służy za wierzch woreczek siatkowy
lub szydełkowy robiony z karmazynowego jedwabiu. Na
rysunku do jajka kurzego woreczek siatkowy robiony jest
w koło na drucie średniej grubości na 30 oczek. U do-
łu zebrany, ściągnięty i przyozdobiony kwastem, w górze
obrobiony frendzlą, przewleczony na cienki jedwabny
sznureczek, ażeby nie otwierał się zbyt często i zawieszony
na sznurach jedwabnych roboty szydełkowej.

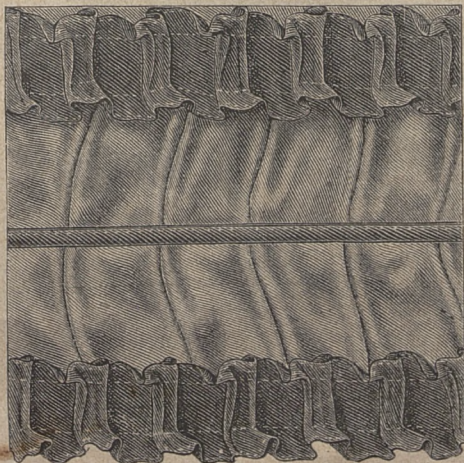
Opis N. 18.

N. 1. Wysycie sznurkowe do paletota.
Ryc. 5 w N. 19 Tyg. Mód.

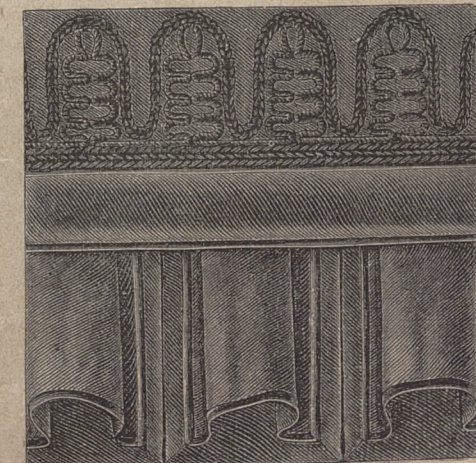
N. 2. Obłożenie rypsowe z
frendzlą do ryc. 6 w N. 19
Tyg. Mód.



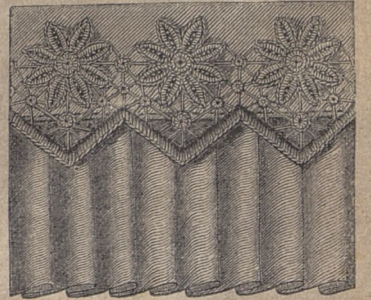
N. 9. Garnirunek nad falbaną
do kostiumu ryc. 26.



N. 10. Riusza do kostiumu ryc. 29.



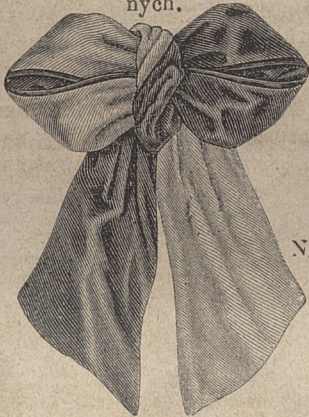
N. 11. Garnirunek kontrafałdowany do ryc. 17
w Tyg. Mód N. 19.



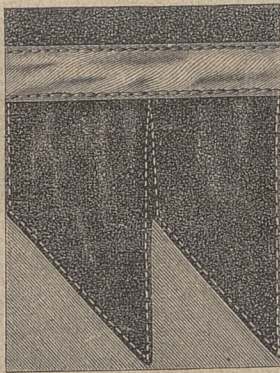
N. 12. Plisowany garnirunek
do ryc. 27.



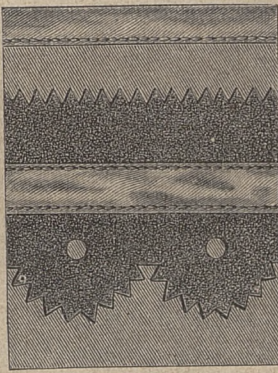
N. 3. Szerokie oszycie do ko-
stiumów i paletotów aksami-
towych.



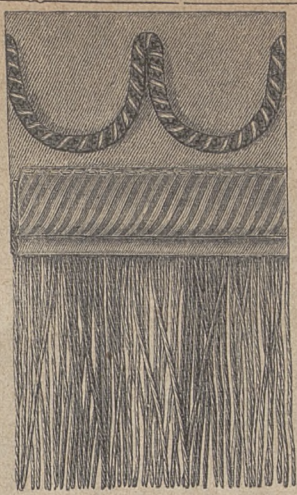
N. 5. Kokarda w dwa cienie do ryc. 21.



N. 7. Ząbki do kaftanika
ryc. 10 w Tyg. N. 19.



N. 8. Ząbki do kaftanika
ryc. 3 w T. Mód N. 19.



N. 3. Sze-
roki garni-
runek z
frendzlą.

Garni-
runek powyż-
szy pięknie
odbija przy
kaftanikach
i okryciach
rypsowych i
aksamitnych,
przezroczyste
zęby przy-
różają wy-
glądają niby
aplikacja,
szeroką z a-
kończoną
frendzlą.

N. 2. Oszycie z rypsowej pliski
i frendzli do paletota ryc. 6
w Tyg. Mód N. 19.

sutasz w kolorze krepy użytej na tło, obwódzi kon-
tury deseni, dodawszy gipiurowe spojenie
z kordonku i ściąg oźdabiający, trzeba gdzie o-
znaczony ażur, powycinać krepę. Brzeg nale-
ży wydzierać jak przy irlandzkiej koronce;
frendzla przewiązuje się.

N. 4 — 12. Rozmaite garnirunki.

Opis przy kostiumach.

N. 13. Ubranie małej dziewczynki.

Na sukience szafirowej kasz-
mirowej ciemniejszą aksamitką
przybraną, biały sukienny pale-
tocik z paskiem aksamitem czar-
nym lamowany, ma u dołu rodzaj
greckich zębów. Biały słomia-
ny kapelusz z piórem czarnem
i takąż aksamitką, dopełnia ca-
łości.

N. 14. Paletot sznurkiem wy-
szyty dla małej dziewczynki.

Paletocik ten zdjęty z formy
kaftanika od płaszcza (opis N.
XI), z odpowiednim podłuże-
nie, przy krajaniu przodów wymaga przypuszczenia na
klapy, wyszyte odmiennym sutaszem, krótsze od paletota.
Mankiet jest podobnie przyozdobiony. Ciemniejsze pli-
ski stanowią również garnirunek; ciemniejszy kołnierzyk
wyszywa się podobnie sutaszem.

N. 15. Paletocik dla dziewczynki (Pleczy).
Krój zobacz ryc. 9—10.

Z popielatego korciku przyrządzony paletocik, ma listew-
ki ciemniejsze 1 1/2 c. szerokie z aksamitową wypustką i krę-
coną frendzlą. Na rycinie łatwo rozeznac rozporok w tyle
i niewielki ząb formujący plecy. Ryc. 2 w N. 19 Tyg.
Mód podaje przód kaftanika.

N. 16—17. Kostium „Fantaska“.

Krój na dodatku N. I Fig. 1—4.

W trzech rycinach przedstawiających pomieniony ko-
stium, podajemy trzy rozmaite jego urządzenia pod
względem materiałow. Na ryc. 16, tunika w paski a-
ksamitowe spada luźno na jednokolorowej spódniczce z falban-
kami (jasno lub ciemno-popielatę). Pięknie podpinana tuni-
ka na ryc. 17 grenadinowa, w kolorze jedwabnej sukni
z pod spodu, odpowiada tunice
rycinie 24 (przód) z gładkiego
materiału, z odpasowanym gar-
nirunkiem, który stanowią uko-



N. 13. Ubranie małej dziewczynki.
Krój na dod.

N. 14. Paletocik sznurkiem wyszyty.
N. XI fig. 36—37 i 39—40.

N. 15. Paletot dla dziewczynki.

N. 16. Ubranie z długą tuniką w pasy.
Krój na dod. N. I fig. 1—4a. Zob. również ryc. 14 w Tyg. Mód N. 19.

N. 17. Ubranie z podpinaną tuniką.
Krój N. I fig 1—4a. Przód zobacz ryc. 24.



N. 22—23. Kostium „Warena.” Krój na dod. N. III fig. 8—12. Zobacz rękaw (ryc. 40 w N. 19).

N. 24. Kostium z podpinaną tuniką. Zobacz (tył) ryc. 16 (tamże krój i opis) rękaw ryc. 14 w N. 19 Tyg.

N. 25. Krótki paletot z bokami. Krój na dodatku N. IX fig. 29—33a. Zobacz ryc. 7 w N. 19.

N. 26. Kostium „Walentina.” Krój na dod. N. VIII fig. 26—28. Garnitur ryc. 9 i tył ryc. 44 w N. 19 Tyg. M.



N. 18. Długi paletot wyszywany. Garnirunek sukni N. 6.
 N. 19. Krótki paletocik z szalowym kołnierzem. Krój na dod. N. IX fig. 29—33. Zobacz ryc. 9.
 N. 20. Stanik z tuniką. Zobacz ryc. 17 w Tyg. Mód N. 19.
 N. 21. Kostium „Pedro.” Ryc. 45 w przyszłym numerze. Krój na dod. N. IX fig. 29 — 33a. Zobacz ryc. 45 w Tyg. Mód N. 19.



N. 27. Kostium „Semira.” Zobacz ryc. 12, garnirunek. Rękaw ryc. 15 w N. 19.
 N. 28. Talma wyszywana. Krój na dod. N. XIII fig. 43—44. Zobacz ryc. 19 w N. 19.
 N. 29. Płaszcz od deszczu. Krój na dod. N. II fig. 5—7a. Garnirunek ryc. 10. Zobacz ryc. 11 w N. 19.
 N. 30. Płaszcz z kaftanikiem. Krój na dod. N. XI fig. 36—38. Zobacz ryc. 11 w N. 19.
 N. 31. Kostium „Eliza” ubrany ciemnymi plisami.

śnie 3 i pół do 10 c. szerokie falbany i 3 cent. szeroka pliska, gładko przestembnowana. Krój częściowy, podaje tylko formę stanika w podłużeniu ze spódnica, mały format krojów objaśnia szczegółowiej całość, dołączając zarazem oznaczenia gdzie wypada przyszyć guziki do podpinania.

N. 18 i 6. Długi paletot z wyszyciem.

Krój paltota zobacz ryc. 5 — 7 w N. 19 Tyg. Mód jak również opis N. X.

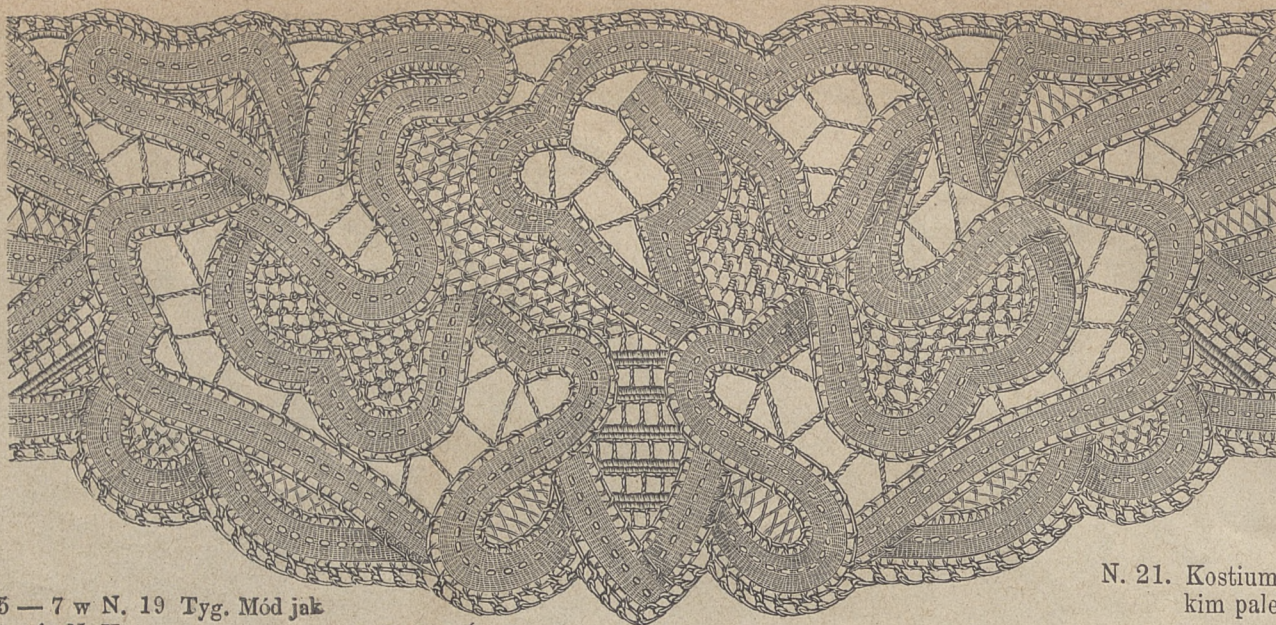
Paltot powyższy, wiele dłuższy od kaftana N. 5 i 6 cokolwiek wcięty w tyle nosi się z białego, lub czarnego kaszmiru czy sukna, na jedwabnej podszewce i wyszywa potrójnie kordonkami w deseń wschodni, lub czarnym sutaszem. Spódnica ubrana jest 6 cent. szer. listwami z podwójnym rulonikiem jaśniejszym w górze; frendzla 1 i pół cent. szeroka jasna, przegradzana ciemnymi jedwabnymi pasmami, dopełnia garnirunku.



N. 40. Lистek wyszuty złotem na tekę ryc. 23 w N. 19.

N. 19. Krótki paletot z szalowym kołnierzem. Krój na dodatku N. IX. Fig. 29—33a.

Rycina 19 przedstawia biały paletot w czarny rzucik, czarnym atłasem lamowany, jako uzupełnienie kostiumu. Model z rozporkami w szwach ma fałszywe kieszonki naszyte na 8 i pół cent. od dołu, atłasem lamowanymi 13 cent. długości a 3 cent. szerok. kłapkami. Dziurki do zapinania, lamują się atłasem. Suknia z kaftanikiem, podana jest na modelu, fioletowa



N. 35. Środkowa część szlaku do firanek. Ryc. 33.



N. 38. Bukiet atłaskowy do koszyka ryc. 21 w N. 19 Tyg. Mód.



N. 39. Mały bukiet atłaskowy do koszyka ryc. 21 w N. 19



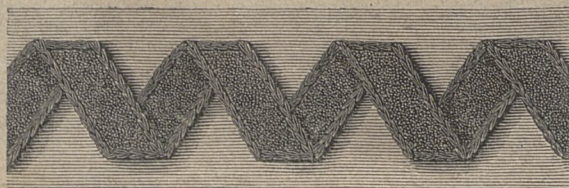
N. 36. Sznur do firanek z jednym kwastem.

N. 37. Sznur z dwoma kwastami.

szeroką falbaną plisowaną przybrana, poprzecznymi pliskami z gipiurą białą po obu stronach naszyta.

N. 20. Kostium ze stanikiem pod szyję z tuniką. Krój tuniki na dodatku N. IV Fig. 13—14a.

Kostium z „taffet de laine“ czarnego, z otwartą w tyle tuniką, ma spódnice naszytą dwiema marszczonemi falbanami ukośnemi 15 i 18 cent. szerokiemi, potrójnemi pliskami i nagłówkami z kontrafałdowaną riuszą, którą się w fałdkach u góry zamocowywa. Ten sam garnirunek nierównie węższy 14 cent. szeroki w całości, muslinem podszyty ubiera tunikę, zapinaną w tyle na kokardę.



N. 34. Szlaczek do portjery ryc. 32.

N. 21. Kostium „Pedro“ z tuniką i krótkim paletotem.

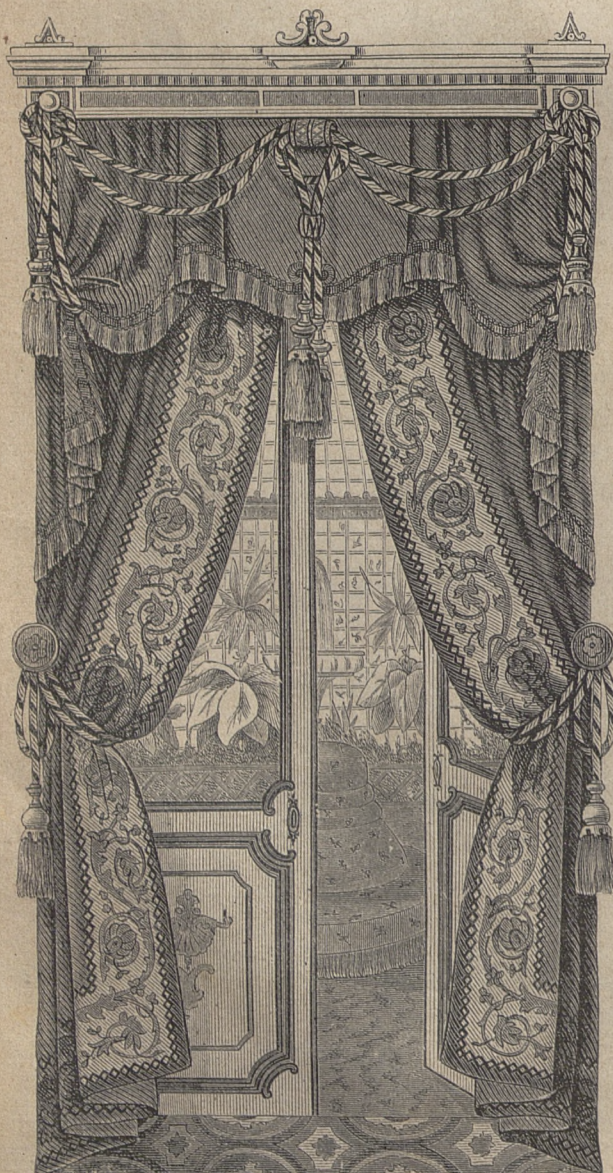
Krój paletota N. IX fig. 29—33a. Zobacz ryc. 6 w N. 19 Tyg. Mód.

Garnirunek do żółtawego kostiumu „Pedro“ podajemy zmniejszonym na ryc. 4 składa go ukośna falbana, szeroka plisa z ciemnej materji i dwa na niej dane ruloniki z materiału sukni. Na spódnicy garnirunek ten wynosi 16½ cent. wysokości, na 60 cent. długości spódnicy; kaftaniczek cokolwiek wcinany z szerokim rękawem, przedstawiony będzie w N. 19 Tyg. z tyłu na ry. 45 z rozcinaniami kłapkami, trzyma on w tyle 63 cent. długości, z przodu 48 cent. Każda z dwóch kłapek pleców, u dołu 27 cent. szeroka w górze, stanowi 5 cent. głęboką fałdę, na którą przy krajanu przypuścić należy. Kokarda na ryc. 5 podana, na muslinie z 10 cent. szer. ukośu podpinana i uzupełnia tunikę. Prócz materiału sukni dodaje się na węzełek i koniec ciemnej materji.

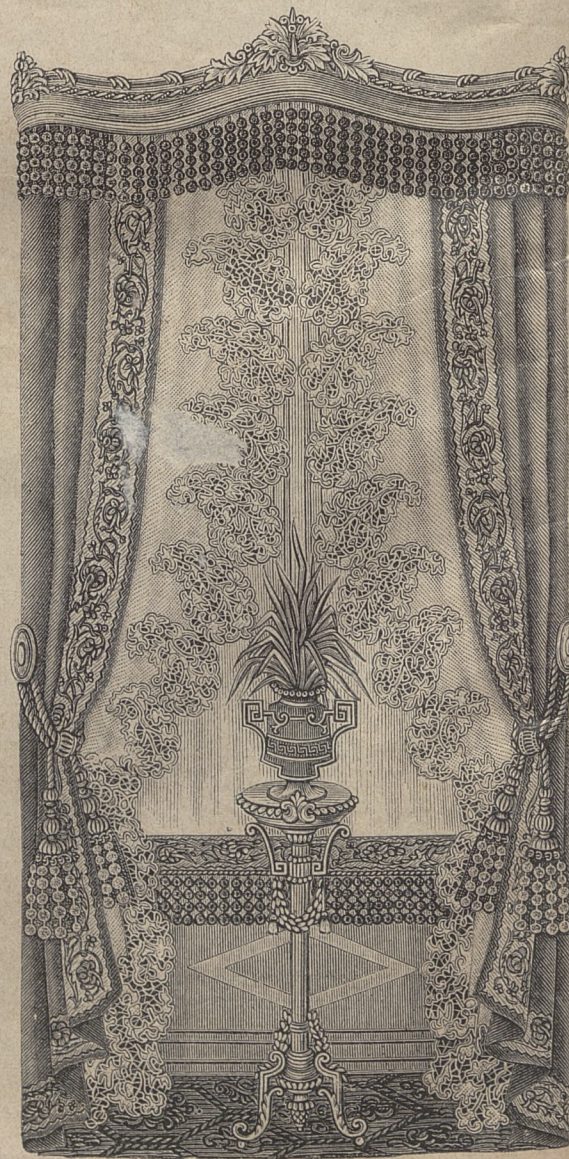


N. 41. Lистek atłaskowy i węzełkowy do r. 33 w N. 19 Tyg.

Dalszy ciąg opisu nastąpi w dodatku N. 19 Tygodnika Mód.



N. 32. Portjera. Deseń aplikacji z sukna na dodatku fig. 48. Zobacz szlaczek ryc. 34.



N. 33. Firanka. Deseń palmy koronkowej na dodatku N. 47



TYGODNIK MÓD
W WARSZAWIE.

Opis ryciny kolorowej.

Suknia wizytowa z brązowej materji.— Spódnica mało powłóczysta, przybrana jest u dołu bardzo szerokiem plisowaniem, przesytem dwiema plisami z czarnej aksamitki, nad tem idzie węższe plisowanie, przesyte również czarną aksamitką. Tunika mocno fałdzista z tyłu, z przodu leżąca zupełnie płasko, garnirowana odpowiednio jak spódnica.— Paletot puszczonej białej „nid d'abeille” rozcinany z tyłu przybrany jest szeroką, czarną koronką, aksamitką i wąską koroneczką naszytą w górę. Naszyte górne naśladuje kwadratowy kołnierz. Rękawy szerokie puszczone, naszyte dwa razy takim jak paletot garnirowaniem.

Ubranie wieczorowe. Suknia jedwabna różowa, oszyta szerokim wolantem koronkowym, z nagłówkiem przytwierdzonym plisą atlasową. Tunika z tiulu koronkowego podpinana z boków rozetami z różowego atlasu. Gorsecik ze spiczastą baskiną różowy jedwabny. Stanik wyciągły z krótkimi rękawkami z białej materji, przybrany atlasową wstążką. Na głowie różowe kokardy.—Zamiast koronkowej tuniki, zrobić można taką samą z tarlatanu lub muślinu.

Bruksella r. 1871.